

TAKIM OKRZYKIEM PRZYWITAŁA LUDNOŚĆ PARYŻA AGENTY MAGNATÓW ZAGŁ. RUHRY I GENERAŁÓW NIEMIECKICH. ADENAUER W STOLICACH ZACHODNICH PRAGNIE PRZYGOTOWAĆ GRUNT DLA ROZPETANIA NOWEJ WOJNY.



TRZECIA ROCZNICA KONGRESU ZJEDNOCZENIOWEGO



CAF

Trzy lata mijają od chwili powstania Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. 15 grudnia 1948 roku na Kongresie Zjednoczeniowym połączyły się dwie partie: Polska Partia Robotnicza i Polska Partia Socjalistyczna, kładąc tym samym kres rozbiciu w łonie polskiego ruchu robotniczego. Deklaracja ideowa PZPR kończy się słowami: „Jednoczymy się jako awangarda polskiego proletariatu, jako przodująca siła narodu polskiego w jego marszu do socjalizmu, jako polski oddział międzynarodowego frontu wolności i postępu, demokracji i socjalizmu. Jednoczymy się, aby poprowadzić Polskę naprzód, do pełnej sprawiedliwości społecznej, do zniesienia wszelkiego wyzysku człowieka przez człowieka, do socjalizmu”. Na zdjęciu: Prezydent Bierut przemawia na Kongresie Zjednoczeniowym.

NA SESJI PARYSKIEJ ONZ



Keystone

Posiedzenie Komisji Politycznej ONZ. Pierwszy z prawej strony min. Wyszyński, za nim Jakub Malik, który wygłosił przemówienie, demaskujące politykę mocarstw zachodnich dążących do remilitaryzacji Niemiec zachodnich.

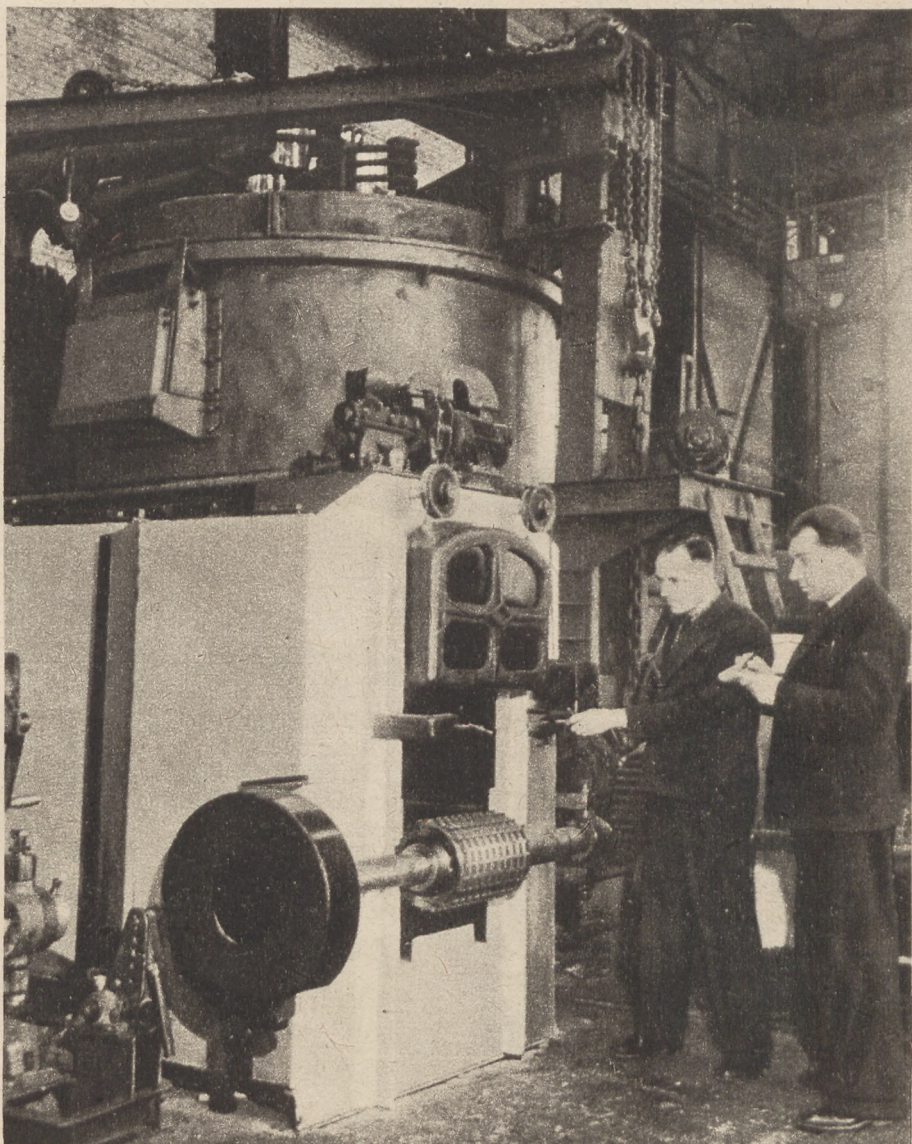
NOWY ROK SZKOLNY W AKADEMII WOJSKOWEJ



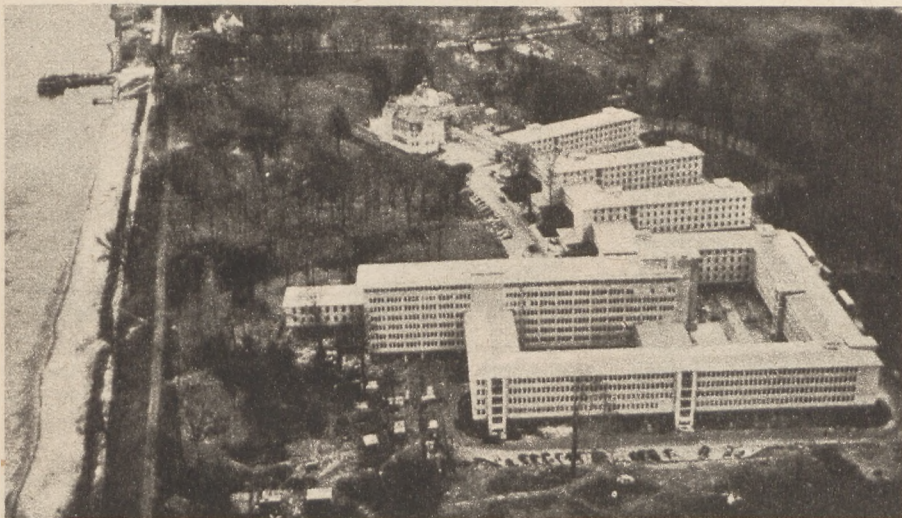
WAP

Dnia 5 bm. w Akademii Wojskowo-Politycznej im. F. Dzierżyńskiego odbyła się uroczysta inauguracja nowego roku szkolnego. Na uroczystości obecny był Prezydent Bolesław Bierut, członkowie Rady Państwa, członkowie Rządu i KC PZPR.

MASZyny RADZIECKIE DLA POLSKI



Moskiewskie Zakłady Urządzeń Elektrotermicznych są jedną z wielu fabryk radzieckich, wykonywających zamówienia naszego przemysłu. Widzimy właśnie ostatnią próbę pieca elektrotermicznego przed wysyłką do Polski.

CENTRUM REMILITARYZACJI

Na wybrzeżu Renu pod Bonn wzniesiono potężny, koszarowy gmach betonowy, w którym mieścić się będzie siedziba amerykańskiego wysokiego komisarza Trizonii, McCloya. Stąd płyną rozkazy odbudowy hitlerowskiego „Wehrmachtu”.

KRWAWA MASAKRA W CASABLANCA

6 trupów i 40 ciężko rannych — oto ofiary brutalnego ataku wojsk francuskich na demonstrację Marokańczyków, którzy protestowali przeciwko przekształceniu kraju w bazę wojenną dla Amerykanów w ramach paktu atlantyckiego.

„TAŃCE ŁOWICKIE” W CZECHOSŁOWACJI

Państwowa Opera w Morawskiej Ostrawie wystawiła balet Jana Maklakiewicza pt. „Tańce łowickie”. Kostiumy i dekoracje oparto na oryginalnych strojach i wycinankach łowickich. Balet polskiego kompozytora osiągnął duży sukces.

PLEBISCYT POKOJU TRWA

Akcja zbierania podpisów pod Apelem Światowej Rady Pokoju w sprawie zawarcia Paktu Pokoju między pięciu wielkimi mocarstwami trwa. W kraju Altajskim na dalekiej Syberii, podpisują Apel pasterze miejscowych kołchozów.

TURNIEJ KOSZYKÓWKI W PRADZE

W Pradze odbył się w sali Sokoła turniej koszykówki kobiet o Wielką Nagrodę miasta Pragi. W turnieju brały udział reprezentacje 7 miast: Moskwy, Budapesztu, Sofii, Paryża (FSGT), Warszawy, Pragi i Brna.

Skala



ZŁOWROGA WODA I WROGI RZĄD

SETKI tysięcy ludzi dotkniętych katastrofą. Całe miasta i wsie pod wodą. Masowa, gwałtowna ewakuacja mieszkańców Rovigo i Adrii. Sznury bezdomnych na drogach. Setki zabitych. Dziesiątki tysięcy zatopionych hektarów najżyźniejszej ziemi Włoch. Dziesiątki tysięcy sztuk straconego bydła. Zniszczone tory, drogi, arterie.

Oto krótki bilans powodzi, jaka nawiedziła Włochy Północne, a której skutki dadzą się porównać — według zdania samych Włochów — jedynie z tragicznymi skutkami trzęsienia ziemi w Mesynie, w r. 1908.

Pad wylał w nocy z 16 na 17 listopada. Masy wodne nie natra-

fiając na żadne przeszkody, wzbierały z minuty na minutę. W siedemdziesiąt godzin woda pokryła całą dolinę między Adygą a Padem.

Naoczni świadkowie odtwarzają zeznania ofiar katastrofy. Ktoś opowiadał jak woda wdarła się do domu i w chwili, gdy zjawiała się łódź — sięgała już szyi. W Rovigo dwoje dzieci chroniąc się przed napierającym wałem wodnym przesiedziało trzydzieści sześć godzin na wierzchołku drzewa. Matka przez trzydzieści sześć godzin patrzyła na tę scenę z okien pobliskiego domu i nie mogła dzieciom swym pomóc. Wciąż im tylko powtarzała, że łódź już dojdzie, że już ją widzi. Gdy dzieci

zdzieto z drzewa, były półomdlałe. Matka w łodzi straciła przytomność.

Dzisiaj wiadomo już we Włoszech i na świecie: katastrofie można było zapobiec. Zbrodnicze zaniedbanie ze strony rządu de Gasperiego pozbawiło dachu nad głową setki tysięcy ludzi, skazało ich na tułaczkę, zniszczyło dorobek pokoleń. Od dawna eksperci i technicy wołali na alarm, stwierdzając fatalny stan wałów przeciwpowodziowych nad Padem, domagając się ich naprawy. Związki zawodowe przedstawiły plan zalesienia brzegów Padu i wzgórz okolicznych. Ale rząd, zajęty przygotowywaniem baz wojennych i zbrojeń na rozkaz amerykański, nie miał czasu na zajmowanie się sygnalizowanym niebezpieczeństwem grożącym ludności, które określał jako wymysł... „komunistycznej propagandy”.

Po katastrofie władze nie zdołały zorganizować akcji pomocy dla ofiar powodzi. To ochotnicze brygady robotników, młodzieży, członków związków zawodowych z poświęceniem i samozaparciem, ruszyły do pomocy, odpowiadając na apel Partii Komunistycznej i Partii Socjalistycznej (Nenniego). Rząd starał się wszelkimi siłami przeszkodzić tej akcji. Ale ochotnicy nie zaprzestali działać. Oni to nasycili pierwszy głód dzieci i udzielili pierwszej pomocy poszkodowanym.

Wśród innych narodów i naród polski pospieszył — na wezwanie CRZZ — z pomocą ofiarom powodzi.

Obrońcą i sprzymierzeńcem ludności Włoch okazały się raz jeszcze siły demokratyczne we Włoszech i poza Włochami — a rząd raz jeszcze zdemaskował się jako rząd zdrady, nienawiści i pogardy dla własnego narodu.



Ludzie patrzyli, jak ginie dorobek ich całego życia, dorobek wieloletniej, ciężkiej pracy. Bezradni, opuszczali na łodziach obejścia, zalane wodą Padu.

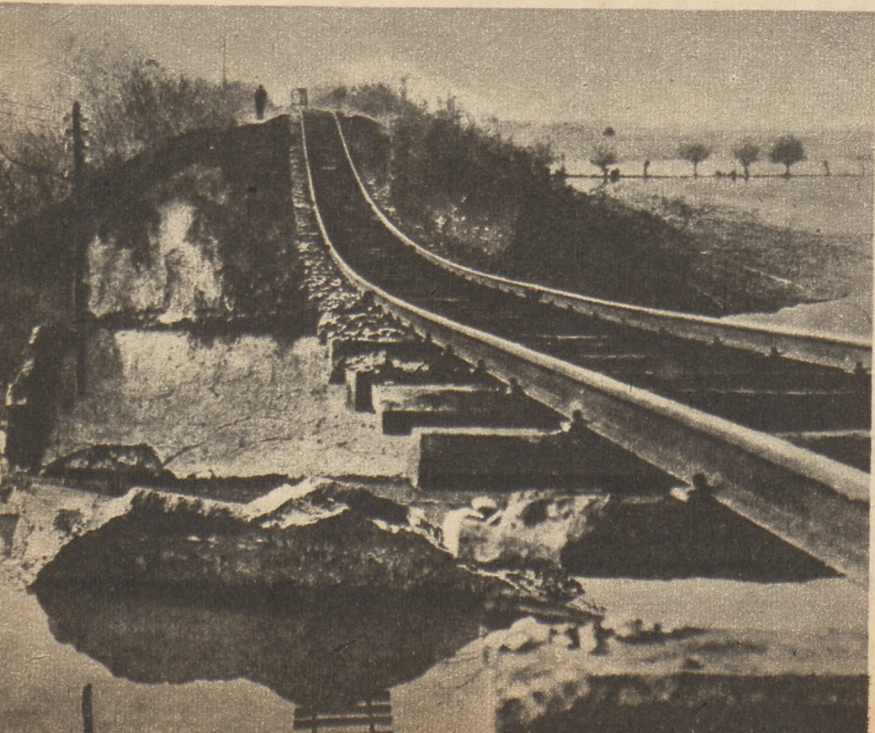


Rząd de Gasperiego ma na sumieniu nędzę setek tysięcy Włochów, którzy, jak ta rodzina, stracili całe mienie. Rząd zdrady narodowej nie przedsięwziął kroków ostrożności i utrudniał akcję ratunkową.

W wezbranych nurtach rzeki zatонуło wiele zwierząt, których nie zdołano wyprowadzić w bezpieczne miejsce. Powódź nierzadko zabierała chłopom ich jedyną krowę. Ogółem zginęło 20 tus. sztuk bydła.



Jeden z mostów na linii kolejowej Padwa — Kremona, zerwały wezbrane fale powodzi na krótko przed nadejściem pociągu pasażerskiego.



NOWA WIEŚ

MARIA JAROCHOWSKA

Zdjęcia: Z. MAŁEK



WŁADYSŁAW SOBCZAK SAM POIŁ SWOJEGO KONIA, CHUCHAŁ NA NIEGO I DMUCHAŁ

— Członków niby jest nas dwadzieścia dziewięć, ale co, niektóre to przewizoryczne...

— Jakto członkowie prowizoryczni?

— Nygusy. Boją się, żeby im robota nie starła pleśni z rąk.

Józefa Gajdecka usłyszawszy warkot samochodu z impetem wypadła właśnie z domu. Ledwo zawiązała czerwoną chustkę pod brodą byle jak, na gruby węzeł i nie zdążyła odłożyć kaczki, dopiero co skubanej, bardzo tłustej, jak należy w końcu listopada, jeśli jesień była sucha.

— Towar żeście może przywieźli? Najbardziej kobiety płaczą za surówką. Brak i brak. Jak ja nie siurnę tych, co nie dają! Wzuję buty, nie trzewiki, podepcę! Musi być dla spółdzielni produkcyjnej Wola Trębska!

— To pani taka energiczna?

— A taka! My tu kobiety na wsi nie mamy czasu czyścić sobie podniebienia, ani warg, jak panie z miasta, gardła także, żeby śliczne prośby wypływać. Każdej rzeczy trzeba się domagać! Z języka listek zostaje cieniuchny.

Więc wyście przyjechali nie z towarem? Trudna rada. Proszę do mieszkania.

Naprawdę język Gajdeckiej musi być zrobiony z arcysolidnego materiału. Wcale, ani trochę, nie zdaje się wycierać od słów mielonych w tempie dużo szybszym niż obroty skrzydeł wiatraka, gdy dopisuje pomyślna dla młynarzy pogoda.

Kobieta z wprawą patroszy ptaka nad garnkiem i trajkoce, trajkoce, aż trudno się opamiętać.

Więc członkowie prowizoryczni. Więc wszystko trzeba za nich...

Zlewa kaczkę ukropem, wnętrzości ciska kotu, od dawna wyprężonemu w pożądlwym oczekiwaniu, i przysunawszy sagan na fajerkę, unosi z dwóch stron rąbek spódnicy rękami, wreszcie wolnymi do gestykulacji. Krokami naumyślnie wielkimi zaczyna krążyć szybko między kredensem a stołem. Naśladuje kogoś.

— Nie ma węgla! Nie ma — przedrzeźnia pogrubionym głosem.

— Nawet nie poprosił usiąść ten w gminie Szczawin, tylko lata po pokoju. Więc ja z pyskiem: jak to nie ma! Drzewa nie chcę! Torfu nie chcę! Węgiel ma być dla spółdzielni Wola Trębska!! Jak pojedę na zebranie do Warszawy, to cię dopiero, człowieku, wygłoszę. Zaraz łapię za telefon do Kwiatkowskiego, sekretarza, za drugi do kierownika GS-u. We trzech my uzgodnim. Czterdzieści metrów węgla przywożłam. Nie dla siebie. Dla wszystkich w spółdzielni Wola Trębska.

— A jak tam u was ze skupem zboża? Plan wykonany?

— Plan? U nas plan w stogu.

— Ze stogu daleko do żołądka potrzebującego. Jednak buraki podobno odstawiliście przed terminem.

— Z burakami co inne, to inne. Cukru już nam brakowało. Spotykam dyrektora z Dobrzelina, tego cukrowni, akurat był w Trąbkach przypilnować odstawy. Ja na niego z krzykiem: Nie mogę z burakiem czekać! Wysycha mi na kupie! A kto pani jest — on zapytuje, dyrektor, nawet grzecznie, z dobrym wychowaniem. Widzi pan, jestem baba. Kobieciny lamentują za cukrem w spółdzielni Wola Trębska. Zaraz mi buraka macie przyjąć! Zaliczkę musim mieć. Przyobiecał. Wróciłam do spółdzielni. Opowiadał mi tak a tak. Trzeba się brać za buraka od tej chwili, już. Nie chcieli wierzyć. Więc dopiero na nich: chłopcy, jak nie pojedziecie z odstawa, sama wsiadam na wóz i wio! W trzy dni my wykopalim. Bez fuszarki, nikt nie obknać, niby panie z miasta, co to jedna z drugą nie wie, jak nóż do ręki wziąć. Odstawili. Zaliczkę dostali po 25 kilo cukru na członka. Spokój na razie w gospodarstwie ze słodyczą.

Skrzypi próg, raz, drugi i dziewiąty. Wchodzący przysiadają na ławce. Ich ubrania są na ramionach zakurzone i oczy jeszcze poważne pod kaszkietami roboczych czapek. Nie przy każdym zajęciu chłopskie twarze mają ten skupiony, do żartów nie skory wyraz. Właściwie tylko wtedy, kiedy chodzi o ziarno. Mimo świątecznego dnia, członkowie spółdzielni ładowali w spichrzu zboże do worków. Widocznie nie wszyscy podzielają niefrasobliwą opinię Gajdeckiej, że wystarczy „plan zwieźć do stogu”. Zaraz jutro, w poniedziałek, odstawia żyto na punkt skupu.

Władysław Sobczak, chłop chmurnego spojrzenia i postawy Waligóry — po prostu gołymi rękami dęby rwać — nie jest zadowolony, że należy do spółdzielni produkcyjnej. Świnie mu padły. Szczepił je, a jednak wyzdychały.

— Padły z winy spółdzielni?

Tego powiedzieć nie można. Ale świn nikt mu nie zwróci. Musi kupować nowe prosięta.

Do maszyn Sobczak nie ma zaufania. Jedna snopowiązałka ciągle się psuła w żniwa. Kosa pewnością, jeśli się ma siłę i naoliwi żołądek porządnie omastą.

— Jak to, więc nie chcecie, żeby w ciężkiej pracy wyręczyły was maszyny?

Tego nie można powiedzieć. Maszyny owszem wyręczyły. Ale skąd on, Sobczak, przychodzi do tego, żeby robić na fachowca? Przecież nie jest żadnym flegmatykiem, żeby sobie rady nie dawał. Ma więcej mocy od traktorzysty, albo od kowala a dniówkę obrachunkową dostaje niższą.

Kiedy mowa o dniówkach, od razu do głosu Sobczaka, w zdania mówione ciężko, z namysłem i ze złością, wplatają się utyskiwania innych członków zespołu. Najgorzej, że trzeba pracować na takich różnych ciarachów, co to palcem nie skina, a potem przychodzą do gotowego. Nawet nie chodzi o kowala, albo o traktorzystę, jeden z drugim porządnie się umęczy, jak każdy inny, ale fakt, że w zespole nie ma równości. Ten się wyteża, aż mu żyły puchną, tamten się tylko śmieje w piastkę: haruj frajerze, jak ci rozumu poskapiło.

Ogólnikowe narzekania gęstnieją w zarzuty osobiste. Ty człowieku, drugiego szkalujesz, a sam o ile jesteś lepszy? Śmiesz zarzucać, a gdzieżeś był, jak my latoś robili przy sianie? A kogo niby reumatyzm skreślił, kiedy się gnój woziło, ale na targ pojechał sobie prościutki, niby leszczynowy pręt?

Już kłótnia wybucha zaciekle, nieposkromiona. No cóż? Jasne, że coś jest nie w porządku w spółdzielni produkcyjnej Wola Trębska — jak zwykła mawiać Józefa Gajdecka.

Ale co? Ziemię mają żyzną. Gospodarować starają się jak umieją najlepiej. Wprawdzie susza dokuczyła tak, że aż z okolicy przypędzają poić bydło do spółdzielczego stawu, bo wszystkie inne powysychały. Wprawdzie poplony zmarniały od spiekoty. Ale pospieszili z całych sił podorywki i zdążyli obsiać niemal wszystko. Uratowali przyszły plon. Tylko 5 ha nie zdołali obsiać ozimą pszenicą. Żadne nieszczęście. Zasieją jarą na wiosnę.

Budynki mają solidne. Wichury dały się we znaki dachom, ale mury są mocne. Więc naprawiają po kolei. O 22 zespołowe krowy, o 18 koni, 74 świnie i cały inwentarz dbają troskliwie.

Dlaczego więc ze 127 ton zboża wyznaczonych im w planie skupu, odstawili dopiero 95 ton? Dlaczego zwlekają ze spłatą podatku i pożyczki. Żyją przecież bez porównania lepiej, niż w pojedynkę.

Józefa Gajdecka doglądała kiedyś dworskiego drobiu. Jedynie jej palce znały z dotknięcia puszystość piór perliczek, indyków, gęsi. Nadreptała się wokół tego ptactwa, nauganiała, naschyłała, nabrudziła, aż nawet w nocy, w snach straszyły ją pantarcze wrzaski. Ale nie znała wcale smaku białego mięsa, jej próbowała tylko na Wielkanoc, tych poświęconych, ona, nawykła do żuru i skapo kraszonych klusek w świątek i piątek. Dziś nie myśli sprzedawać swoich kur ani kaczek, choćby ją o to ktoś nie wiadomo jak prosił. Bo po co? Pieniądzy jej nie brakuje. Woli sama upiec i zjeść z rodziną. Podobnie, jak inni członkowie spółdzielni przyzwyczaili się do tłustej czerniny, do wonnych rosółów, i do jajecznicy, słonej od mnogości skwarków.

Józefa Gajdecka zajmuje z mężem obszerny, po-



JÓZEFA GAJDECKA SPOTKAŁA SIĘ Z WŁ. KARASIŃSKIM PRZEWODNICZĄCYM SPOŁDZIELNI.

rzędnie umeblowany pokój z kuchnią. W piecach pali węglem, zamiast chrustu, zbieranego kiedyś ukradkiem, pod groźbą pobicia, w dworskim parku. Wieczorami z okien jej mieszkania bije blask elektrycznego światła, zamiast wątego płomyka z kłaczka maczanego w nafcie, której zawsze było za mało, chociaż tyle razy dolewało się wody do rezerwuaru.

Dwóch młodych Gajdeckich jest traktorzystami. Odpędzała matka synów od motoru, odganiała, bo bała się maszyn. Zabraniała, ale nie potrafiła chłopców utrzymać. Są dziś fachowcami.

Ojciec Władysława Sobczaka, 84-letni Szymon, niegdyś na własnych barkach dźwigał olbrzymie głazy do budowy stajni.

— Który — dziadku, był najcięższy? — zaczepiają go czasem żartem dziewczęta.

— Wszystkie, cholery, były nie lekkie — wspomina bez uśmiechu stary. — Jak bym od każdego położonego kamienia, dostał choć grosz, to bym był bogaczem do końca życia w maśle i miodzie pływającym. Nie ma w całym powiecie gostyński wiosk, żebym do niej nie przyłożył ręki.

Tutaj w Woli Trębskiej, przez całe zimy dworscy ludzie zbierali po polach kamienie, spuściznę po miazdzącym niegdyś ziemię lodowcu. Potem Sobczak z dwoma pomocnikami pchał kamienie na tragach i układał w mury. Budował w ciężkim trudzie, aż kości trzeszczały, za pół darmo, gospodarskie obejście dla dziedzica.

Dziś syn krzepkiego murarza jest właścicielem tych obór, stodół i chlewni. Gospodaruje razem z innymi na polach oczyszczonych z kamieni i wydartych panom. Czworko swoich dzieci będzie kształcił według ich zdolności.

Dlaczego więc Józefa Gajdecka nie docenia olbrzymich zmian przełamujących na lepsze jej życie? Dlaczego Władysław Sobczak narzeka na zespolowe gospodarzenie?

Rozważając teraźniejszość, trzeba w poszukiwaniu za przyczynami cofnąć się wstecz. Trzeba wrócić do jesieni 1949 roku, kiedy „po burakach“ ludzie w Woli Trębskiej zaczęli mówić o założeniu spółdzielni produkcyjnej. Dyskutowali wieczorami do późna w nocy, w święta spierali się między sobą i przekonywali. Jeszcze nie byli zdecydowani.

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza pomagała, jak zawsze, chłopom w rozwiązywaniu wątpliwości. Wyjaśniała problemy, których nie rozumieli.

Ale znalazł się sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR, który wpadł na pomysł, aby decyzję Woli Trębskiej przyspieszyć. Sam posiadał ową pewność, że zespolowa gospodarka rolna jest jedynym szczęśliwym rozwiązaniem dla przyszłości wsi. Niecierpliwiał się, że nie wszyscy jeszcze chłopcy to rozumieją. Zamiast uświadamiać, uświadamiać tak, aby rychlej dojrzało w nich słuszne postanowienie, sądził, że lepiej się chłopom przysłuży, stosując pewien nacisk. Obawiającym się rozstania ze swoją własnością, obiecywał niezwykle przywileje dla spółdzielni, niby podarki św. Mikołaja i gołąbki same przylatujące do gąbki. Zmylnym kułackimi plotkami groził nałożeniem podatku od wzbogacenia, jeśli nie wstąpią do spółdzielni.



Podstawowa Organizacja Partyjna w spółdzielni Nowa Wieś jest organizacją mocną i zdrową. Sekretarzem jej jest towarzysz Leon Gostawski.



Spółdzielcy w Nowej Wsi budują chlewnię dla wielu świń. Chcą ich zakontraktować jak najwięcej. Zbudowali również oborę. Wśród świń posia-

dają okazowe tuczniki. Wśród krów mają krowę, która pobila nie lada rekord. Daje ona 35 litrów mleka dziennie. Spółdzielcy dbają o inwentarz.

Kiedy wyszły na jaw „metody” sekretarza nie pozwalającego się ludziom namyślić, surowo po-
ciągnięto go do odpowiedzialności za własne, bez
namysłu postępowanie.

Lecz Józefa Gajdecka dotąd uważa, że spółdzielni
od Państwa należy się wszystko, a Państwu od
spółdzielni tylko to, co jej się sowicie opłaci.

Lecz w Woli Trębskiej kobiety już w pierwszych
dniach istnienia spółdzielni, wykrzykiwały: nie po-
trzeba nam zebrań! „Zamiast zebrań, przyslijcie pa-
pę na naprawę dachu!”

Lecz Władysław Sobczak ciągle sarka. Bo koń,
którego kupił za własne pieniądze, którego sam
karmił, czyścił, chuchał na niego i dmuchał, teraz
ciągnie pług należący niegdyś do sąsiada.

Ciągle jeszcze nie wszyscy rozumieją w Woli
Trębskiej najważniejszego: *spółdzielnia jest ich.*
Stworzyli ją dla siebie.

Z tego braku zrozumienia wynikają niedocią-
gnięcia w organizacji zajęć. Nie przestrzegana jest
dyscyplina pracy. Nie potrafią z góry rozplanować
swego budżetu: na inwestycje, na wyrównanie po-
winności, do podziału ogólnego. Nie wypłacają so-
bie zaliczek. Pożyteczna energia Gajdeckiej zuży-
wa się na gadatliwe prośby i groźby. Siły Sobczaka
i jego gospodarski rozsądek, marnują się w po-
pędliwych żalach. Jeden narzeka na drugiego. Nie
dostrzega własnej niedojrzałości.

— Więc może chcecie rozwiązać zespół, skoro jest
wam źle?

Oburzają się od razu wszyscy. Oburzają ogrom-
nie.

Przecież nikt nie mówi, że źle. Tylko ludzie
u nich nieużyci, najgorsi w całym powiecie...

— Ludzie są w Woli Trębskiej nic nie gorsi, niż
gdzie indziej, nawet może lepsi. Ale nie wyrobieni—
twierdzi Stanisław Chmielewski. Jego ojciec miał
w Woli 6 mórg pola. Daremnie próbował z nich
wyżywić 11 dzieci. Stanisław od 1928 roku pracował
w warszawskim Monopolu Tytoniowym, aż do koń-
ca okupacji. Dziś jest przewodniczącym spółdzielni
produkcyjnej Nowa Wieś, tuż przy granicy rodzin-
nej Woli. Nowa Wieś ma od Woli Trębskiej ziemię
gorszą, budynki posiada dużo bardziej zniszczone
i mieszkanka członków zespołu rozrzucone na prze-
strzeni czterech kilometrów. Nie to, co na Woli,
wszyscy od podwórza mają blisko, że usłyszysz, jak
dzieciak drze się w kołysce. W Nowej Wsi do każ-
dej skibki chleba w chałupie człowiek musi liczyć
trzy kwadranse podróży i ujmować sobie snu ran-
kiem, żeby zdążyć na czas do roboty.

A jednak spółdzielnia Nowa Wieś osiągnęła prze-
ciętnie zboża 19 kwintali z ha. A jednak odstawiła
przed terminem 7 ton ziarna ponad plan i 64 kwin-
tale ziemniaków, wyrównała podatki, zapłaciła po-
życzkę. A jednak zespół potrafi umiejętnie rozbie-
rać zdewastowane budynki i stawiać na ich miejsce
nowe, gospodarując oszczędnie. Wybudowali z czte-
rech rozwalonych dwie stodoły. Wybudowali oborę
na trzydzieści krów z magazynem zbożowym na
pierwszym piętrze. Budują chlewnie na 200 sztuk,
owczarnie i cielętnik.

W Woli ludzie urągają sobie wzajemnie i praca
wcale naprzód się przez to nie posuwa.

W Nowej Wsi gadania jest o wiele mniej. Bydło
Trawińskiego wyrządziło z jego winy spółdzielni
szkodę, zebranie odrząca mu za karę z wypłaty
6 dniówek obrachunkowych. Małżeństwo Trusiń-
skich sprzedawało ludziom wódkę, zarząd zobowią-
zuje ich do podpisania obietnicy, że więcej alko-
holu na handel w domu nie będą trzymać. Kazi-
mierz Morawski wyrąbywał na opał belki z bu-
dynku i często zaniedbywał się w obowiązkach, ze-
spół wyklucza go ze swego grona.

W Woli ludzie wiecznie mają pretensje, że im
wszystkiego mało. Tylko patrzą, żeby jak najwię-
cej od kogo się da i nie da wyłudzić. I Nowa Wieś
stawia postulaty, ale jakże odmienne. Chcą mieć
stałe kino. Żądają staranniejszej kontroli nad mły-
nami. Skoro odwieźli czyste zboże, powinni otrzy-
mać dobrą mąkę. Dowiadują się o kursy kroju
w mieście. Zamierzają na nie wysłać kosztem spół-
dzielni kilka dziewcząt. Żeby potem szyły jako
krawcowe dla zespołu.

Wąska miedza dzieli te dwie spółdzielnie. A wy-
daje się, jakby rozłączało je siedem gór, siedem-
naście rzek i niejedno morze. Obie powstały w tym
samym czasie, a wydaje się, że leży między nimi
wiele lat.

Niecierpliwy sekretarz kiedyś zajeżdżał również
do Nowej Wsi. Było ich z początku pięciu człon-
ków-założycieli. Chciał im pomagać po swojemu.
Nie zgodzili się. Znali słuszną linię partii. Choć
ciężko, ale wolą się borykać sami, wolą harować
z własnej woli od piania kogutów do sennego po-
rykiwania krów pod wieczór, niż żeby ktoś do
spółdzielni szedł nie rozumiejący, bez całego serca.

Dziś do zespołu należy 34 gospodarstwa, jak wieś
długa i szeroka, wszystkie od pierwszego opłotka
do ostatniego.

Już kiedy biedniakowi zabraknie zboża na przed-
nówku, idzie śmiało prosić spółdzielnię o wspomo-
żenie.

Już z okolic bliższych i dalszych przywędrowują
ludzie dowiadywać się o warunki przyjęcia do ze-
społu. Chcieliby się zapisać właśnie do Nowej Wsi.
Nie do Woli Trębskiej.

MARIA JAROCHOWSKA



TE KAMIEŃ - OLBRZYMY DZWIGAŁ NA SWOICH PLECACH STARY SZYMON SOBCHAK.

STANISŁAW CHMIELEWSKI Z NOWEJ WSI JEDZIE Z SASIEDZKĄ RADĄ NA WOLĘ.



CZARNY PLAN

BOLESŁAW WÓJCICKI

Korespondencja własna „ŚWIATA“

CIEŻKA chmura kryzysu finansowo-gospodarczego zawisła nad Francją. Zmarshallizowana prasa burżuazyjna, ba, cały rząd Plevena nie mógł już dłużej ukryć złowrogich skutków „pomocy“ amerykańskiej i polityki zwojowej wojennej, zwanych oficjalnie planem Marshalla i paktem północno-atlantyckim.

Przeszło 70 miliardów franków nowych podatków pośrednich i bezpośrednich, nowa masowa wyżka cen, które i bez tego ostatnio bezustannie szły w górę, nowa podwyżka taryf kolejowych, zmniejszenie ruchu na kolejach i zwolnienie z pracy 10 tys. kolejarzy, obcięcie o 40% importu surowców, a w tym tak kluczowych dla produkcji, jak węgiel, metale kolorowe, bawełna, zmniejszenie o jedną trzecią wydatków na inwestycje i odbudowę — oto w telegraficznym skrócie program środków „zaradczych“, oto „plan“, który przedstawił w parlamencie minister finansów i spraw gospodarczych — René Mayer.

Cóż oznacza w praktyce i do czego wiedzie ten program?



Aby zrównoważyć budżet wojenny, rząd francuski podnosi ceny artykułów konsumpcyjnych. Oto znaczek pocztowy kosztuje 18 franków zamiast 15, paczka papierosów „Gauloises bleues“ 80 zamiast 65, paczka tytoniu 100 zamiast 85.



Do portów francuskich coraz częściej przybývają statki U. S. A. Marynarz amerykański, świeży przybysz na Lazurowym Wybrzeżu, przekona się rychło, że życie we Francji wygląda inaczej niż na amerykańskich filmach.

Oznacza on „racjonowanie przez drożyznę“ — falę dalszych dotkliwych ograniczeń spożycia dla francuskich mas pracujących i warstw średnich — nowy cios w ich stopę życiową.

Równocześnie jest to okrutny cios wymierzony w pokojowy przemysł Francji i całą francuską gospodarkę narodową, którym — z braku niezbędnych surowców, tego tleniu produkcji — grozi po prostu uduszenie. Zmniejszoną bowiem prawie o połowę ilość surowców podstawowych pochłona przede wszystkim zbrojenia.

Skąd pochodzi ten uznany już dziś oficjalnie przez rząd Plevena kryzys? Wypływa bezpośrednio z dwóch źródeł. Z niewoli gospodarczej, którą narzuciły Francji Stany Zjednoczone drogą osławionej marshallowskiej „pomocy“, co spowodowało zamykanie kopalń i fabryk francuskich, spadek korzystnej dla Francji wymiany handlowej ze światem niekapitalistycznym i pogłębiający się deficyt wymiany handlowej. Pływie dalej ten kryzys z narzuconego Francji przez rząd USA i posłuszne mu rządy burżuazji francuskiej, brzemienia wydatków na zbrojenia i wojnę. Wydatków, których wysokość określa „komitet mędrców“ atlantyckich z osławionym Harrimanem, amerykańskim magnatem finansowym, na czele.

FRANCUSKIE KARTOFLE DLA WEHRMACHTU

Jest rzeczą znaną, że zanim premier Pleven i minister René Mayer udali się do parlamentu, odbyli długą i publicznie ujawnioną naradę z ministrem Achesonem, ze wspomnianym już Harrimanem, z ambasadorem USA Bruce'em oraz szefem administracji marshallowskiej we Francji i całym sztabem pozostałych „instruktorów“ amerykańskich. Chodziło widocznie o to, aby nawet najbardziej naiwnych wyleczyć z resztek złudzeń.

Na krótko przed ujawnieniem przez rząd Plevena programu, który lud Francji nazwał od razu „czarnym planem“ — wydawnictwo propagandowe planu Marshalla we Francji „Stosunki między USA a Francją“ (zeszyt listopadowy), nakreśliło niezwykle pociągający obraz przyszłości Francji. „Francja — píše „Rapports France — USA“ — powołana jest do odegrania kapitalnej roli jako źródło żywności w Europie“. „Kraje przemysłowe za dostawy żywności — cytują znowu — płacić będą eksportem do Francji towarów gotowych, przemysłowych“. Jako głównego klienta takiej odprzemysłowionej, zmienionej w „Kartoffelfeld“ (kartoflisko) Francji, propagandowe wydawnictwo planu Marshalla wskazuje... adenauerowsko-hitlerowskie Niemcy, których „kanclerz“ zawitał do Paryża na naradę z Achesonem, by potem łaskawie pokonferować również i z ministrem Schumanem oraz Edenem.

Teraz chyba wszystko jest już jasne: Francja — tak jak to już planował i realizował Hitler z pomocą Petaina, apostoła „powrotu na rolę“ — ma być przekształcona w rolniczo-warzywnicze zaplecze Niemiec Kruppa, które będą grały pierwsze skrzypce w „obronie wolnego świata“. Francja dostarczyć ma „armii europejskiej“ tanią piechotę. Pancerne zaś dywizje nowohitlerowskiego Wehrmachtu pilnować będą tej francuskiej piechoty, „czuwać“ nad narodem francuskim, a przede wszystkim — nad francuską klasą robotniczą, której siłę zamierza się zdławić ponadto przez zduszenie przemysłu francuskiego. Tak to sobie obmyślili „dobroczyńcy“ marshallowscy, amerykańscy magnaci przemysłu i banków — wierni spadkobiercy Hitlera.

KRUSZA SIĘ OKOPY KŁAMSTWA

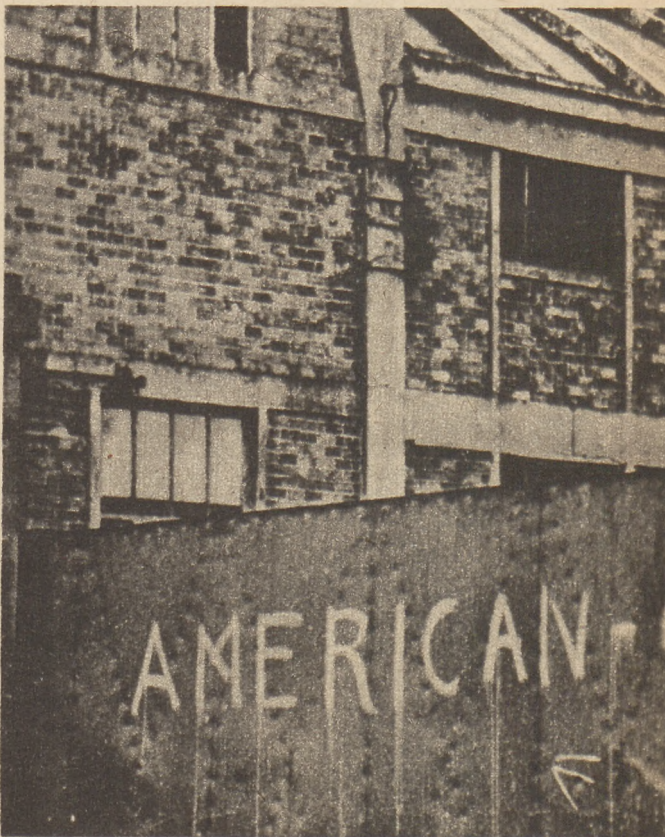
Zarówno premier Pleven i minister Mayer, jak i prasa prorządowa, nie mogąc zataić prawdy, starają się zwać winę za katastrofalną sytuację w jakiej znalazła się Francja na... „groźbę napaści“. Na rzekome niebezpieczeństwo grożące Francji ze strony... Związku Radzieckiego, Polski, Czechosłowacji i pozostałych krajów demokracji ludowej. Tym „niebezpieczeństwem“ starają się tłumaczyć przytłaczające Francję zbrojenia narzucone przez amerykańskich organizatorów nowej wojny światowej.



Acheson (pierwszy z lewej) dumnie patrzy na swe dzieło: na sielankę między Adenauerem (drugi z lewej) i Schumanem (trzeci z lewej). Eden (z prawej) wtóruje zachwytem kolegów. Jednocześnie przeciw

Przebieg dyskusji w ONZ, jasne i proste propozycje ministra Wyszyńskiego, jego poprawki do propozycji „trzech“ — kruszą tę ostatnią linię okopów kłamstwa i przekonują nawet tę część społeczeństwa francuskiego, która dotychczas miała jeszcze wątpliwości, że Związek Radziecki i państwa demokracji ludowej są najszczerzszymi i najgorętszymi orędownikami pokoju.

Zwycięski strajk górników francuskich, coraz większe rozbieżności w łonie popleczników rządu Plevena, potężne manifestacje ludu Paryża przeciw rzecznikowi odwetowców, hitlerowskich generałów, Adenauerowi — wszystko to świadczy, iż we Francji narasta opór przeciw amerykańskiemu dyktatorowi. Opór, który krystalizuje się wokół konkretnego programu wyjścia ze ślepego zaułka atlantyckiego, wokół programu Frontu Jedności Narodowej, proklamowanego przez Francuską Partię Komunistyczną.



„Amerykanie, idźcie sobie do domu!“ — coraz częściej napisy takie zjawiają się na domach francus-



wizycie Adenauera w Paryżu, przeciw zbrodnicyz machinacjom przygotowań wojennych protestuje lud francuski, który nie chce dopuścić do „Parademarsch'u” nowego Wehrmachtu na swej ziemi.

NASZE I ICH PLANY

Stąd, z Paryża — lepiej bodaj niż z kraju — widoczna jest głęboka, zasadnicza różnica między trudnościami wzrostu, z jakimi walczymy w Polsce a tym gwałtownym kryzysem, który, jak wicher — że posłużyć się wyrażeniem czołowego organu burżuazji francuskiej „Le Monde” — ogarnął Francję i Wielką Brytanię. Ten kryzys hamuje rozwój przemysłu pokojowego i smaga swym mrozącym podmuchem masy pracujące i warstwy średnie. Tylko nieliczna garstka kapitalistów dalej zbija fortuny na zbrojeniach...

Nasze plany — to postęp, dobrobyt, pokój.

Ich „plany” — to kryzys, nędza, wojna.

Klasa robotnicza Francji, zyskując coraz szersze masy sojuszników wśród całego społeczeństwa francuskiego, nieugięcie walczy o zwycięstwo planów życia nad planami śmierci.



Zbyt żywo przypominają narodowi francuskiemu ci amerykańscy policjanci niedawne jeszcze czasy, kiedy znienawidzeni żołdacy hitlerowscy „strzegli” francuskich gmachów i urzędów. Oto straż amerykańska przed wejściem do wielkiej fabryki Matford w Bordeaux. Schuman, Plevin, Mayer poddają Francję rozkazom St. Zjednoczonych, każąc ludowi francuskiemu dźwigać brzemień „czarnych planów”.

kańska przed wejściem do wielkiej fabryki Matford w Bordeaux. Schuman, Plevin, Mayer poddają Francję rozkazom St. Zjednoczonych, każąc ludowi francuskiemu dźwigać brzemień „czarnych planów”.

Ale lud francuski nie lubi komendy obcej ani własnej reakcji. Mieszkańcy Bordeaux demonstrują przeciw amerykańskiej okupacji fabryk i portów francuskich. „Nigdy naród francuski nie stanie się narodem niewolników” — głosiła podczas okupacji

hitlerowskiej Komunistyczna Partia Francji, wzywając do oporu najszerze masy Francuzów. „Nigdy naród francuski nie będzie narodem niewolników” — mówią dziś w twarz amerykańskim okupantom miliony Francuzów i Francuzek.



kich, na murach i płotach. Narody zachodniej Europy protestują przeciw amerykańskiej okupacji.



NIEMCY MUSZĄ ŻYĆ W PRZYJAŹNI Z WSZYSTKIMI NARODAMI

EDMUND J. OŚMAŃCZYK

Niemcy muszą być zjednoczone...
Niemcy muszą być pokojowe...

Niemcy muszą żyć w przyjaźni
ze wszystkimi narodami...

Trzy razy użyte z rozmysłem słowo „muszą”. Cóż ono oznacza? Rozkaz? Pobożne życzenie? Z naiwnym tupe-tem określoną nadzieję?

Nie. Po prostu stwierdzamy bezsprzeczny fakt, że na to, aby Niemcy nie były zarzewiem nowej wojny w Europie, Niemcy muszą być zjednoczone, muszą być pokojowe i muszą żyć w przyjaźni z wszystkimi narodami.

Stwierdzenie to pozwoliło nam ujawnić z kolei następujące fakty:

Zjednoczenia Niemiec domaga się naród niemiecki. Zjednoczeniu Niemiec przez naród niemiecki sprzeciwiają się okupanci zachodni w oparciu o baronów przemysłu, bankierów, junkrów i ex-generałów hitlerowskich. Reprezentantem tej antynarodowej klasy jest były prezydent Pruskiej Rady Państwa, obecny „kanclerz” bońskiej republiki, Konrad Adenauer.

Zjednoczenie Niemiec przez naród niemiecki popierają wszystkie narody. Narody są sojusznikiem narodu niemieckiego, wyzwolonego już od wyzysku i ucisku w Niemieckiej Republice Demokratycznej, a walczącego jeszcze o to wyzwolenie w Niemczech zachodnich. Reprezentantem miłującego pokój narodu niemieckiego jest były towarzysz walki Liebknechta i Thaelmanna, obecny Prezydent NRD, Wilhelm Pieck.

Kto dziś w Niemczech i świecie wypowiada się za zjednoczeniem Niemiec przez naród niemiecki, ten wypowiada się za pokojem.

Kto natomiast dziś w Niemczech i świecie wypowiada się przeciw zjednoczeniu Niemiec przez naród niemiecki, ten wypowiada się za przygotowaniem do nowej wojny.

Naród niemiecki, który chce zjednoczyć Niemcy, wypowiada się zdecydowaną większością przeciwko remilitaryzacji Niemiec.

Prusko - hitlerowskie szumowiny: wielcy przemysłowcy, bankierzy, junkrzy i ex-generałowie hitlerowscy, którzy z pomocą imperialistów amerykańskich podzielili Niemcy i schwycili ponownie władzę w Niemczech zachodnich, nie chcą jednoczyć Niemiec drogą pokojową poprzez wolę narodu niemieckiego, natomiast chcą poprzez remilitaryzację narzucić siłą swoje panowanie całemu narodowi niemieckiemu, a z kolei, do spółki z gangsterami zza oceanu, wszystkim narodom Europy.

Przeciwko remilitaryzacji Niemiec, za Niemcami pokojowymi wypowiadają się wszystkie narody świata, nie wyłączając zdecydowanej większości narodu niemieckiego.

Za remilitaryzacją Niemiec, za Niemcami agresywnymi wypowiadają się wszystkie ośrodki wstecznicstwa w całym świecie, nie wyłączając Stolicy Apostolskiej Kościoła Katolickiego: Watykanu.

Na liście nazwisk protestujących przeciwko remilitaryzacji Niemiec znajdujemy nazwiska takie, jak przewodniczącej Ligi Kobiet Koreańskich Pak Den-ai, przewodniczącej Chińskiego Komitetu Obróńców Pokoju, wdowy po Sun Yat-senie, profesora teologii Uniwersytetu Warszawskiego Ks. dr Czują więźnia hitlerow-

skich obozów koncentracyjnych, jednego z przywódców ewangelickiego kościoła Niemiec, pastora Niemoellera, przewodniczącej katolickiej partii Centrum w Trizonii, Heleny Wessel, dziekana katedry w Centerbury, Johna, laureata nagrody Nobla wielkiego pisarza niemieckiego Tomasza Manna... Mógłbym przedłużać w niesko-

rodowości, ludzi których złączyła ślepa nienawiść do narodów już wyzwolonych od podłości kapitalistycznego wyzysku i nienawiść do narodów buntujących się dopiero przeciwko wyzyskowi i uciskowi. Ludzie ci chcą remilitaryzacji Niemiec, bo tylko w wojnie znajdują sens swego istnienia. Nigdy kosmopolityczna zмова wstecz-

serwuje ze szczególną uwagą. Nie przypadkowo bowiem Truman, Schuman i Churchill podsycają najsilniej nienawiść prusko - hitlerowskiej szumowiny narodu niemieckiego do Polaków, do Polaków, do całego polskiego narodu. Ci następcy Hitlera usiłują wywołać znów wojnę posługując się prusko - hitlerowską szkapą, która choć poharatana mocno nad Wołgą, Wisłą, Szprewą i Łabą pozostała przy życiu dzięki sztucznym zabiegom Trumana.

„Rzecznicy niemieckiego kapitału monopolistycznego, dopuszczonego do zaszczytnej roli pierwszego kapo w Europie, właśnie rewizjonistycznym, polakożerczym, odwetowym programem świadomie i najzupełniej już oficjalnie szermują na każdym kroku...”

„Począwszy od „kanclerza” Adenauera a na ostatnim ciurze „ministerialnym” w „rządzie” bońskim oraz mężach opatrnościowych schumacherowskiej „opozycji” kończąc — wszyscy ci epigoni hitlerowskiego nacjonalizmu głoszą wszem i wobec absolutną „europejsko - atlantycką” konieczność „rewizji granicy na Odrze i Nysie” i to przy użyciu achesonowskiej „polityki siły”... Taki jest cel, który stawia się otwarciem przyszłemu Wehrmachtowi...”

„Z jednego musimy jasno sobie zdać sprawę: rewizjonistyczna, polakożercza kampania w Trizonii, wzniecona i systematycznie rozdmuchiwana przez amerykańskich, angielskich i hitlerowsko - schumacherowskich budowniczych Wehrmachtu nie jest jedynie zagadnieniem „rewizji” granicy na Odrze i Nysie. Nie jest to zagadnienie tylko geografii politycznej. Plany imperialistyczne godzą w sam byt Polski w samo istnienie narodu polskiego”.

Te po stokroć słuszne słowa, które dobrze zapamiętać winien każdy Polak, wyjąłem z wstępnego artykułu pt. „Przeciw amerykańsko - hitlerowskiemu planowi agresji”, zamieszczonego w czasopiśmie polityczno - społecznym, organie KC PZPR, „Nowe Drogi” Nr 4 (28).

„Dziś, kiedy między Renem i Łabą przygotowuje się dywizje, które miałyby ponieść na wschód wojenne sztandary, nie tak bardzo odmienne od sztandarów ze swastyką, jest rzeczą konieczną wznieść głos protestu przeciw remilitaryzacji Niemiec, która bezpośrednio zagraża tak najżywniejszym interesom i prawom naszego narodu, jak i pokojowi świata”.

Te z kolei słowa protestu wyjąłem z wstępnego artykułu pt. „Brunatne upiory straszą”, zamieszczonego w piśmie społeczno - kulturalnym, organie krakowskiej Kurii Metropolitalnej, „Tygodniku Powszechnym” Nr. 47 (349).

Do czego zmierzam przytaczaniem dwu głosów w tej samej sprawie dwu światopoglądowo najbardziej dalekich sobie polskich czasopism?

Zmierzam do zasadniczego stwierdzenia, że dziś nikt z nas już milczeć nie może, jeśli chodzi o stosunek nasz do tego, co w Niemczech się odbywa.

Dokończono na str. 21



czoność tę listę nazwisk ludzi różnych ras i narodowości, ludzi różnych światopoglądów, ludzi, których uczciwość, sumienie człowiecze i umiłowanie ludzkiej kultury zagrożonej znów wojną, złączyły w walce przeciwko remilitaryzacji Niemiec, za pokojem świata. Nigdy międzynarodalistyczna solidarność ludów świata nie wydała tak pięknych owoców, jak w naszych trudnych, ale wspaniałych latach walki o pokój.

Na liście nazwisk wypowiadających się za remilitaryzacją Niemiec, znajdujemy natomiast nazwiska takie, jak Karla Li Syn-mana, bankruta Czang Kai-szeka muzealnego ramola Kiereńskiego, białego konia ulańskiego gen. Andersa, mordercy Warszawy gen. Guderiana, zbrodniarzy wojennych: fabrykanta zbrojeniowego Kruppa i bankiera Hitlera, Pferdmengesa, purpurata kolońskiego, kardynała Josepha Fringsa, mordercy francuskich robotników Mocha, mordercy włoskich robotników Scelby, purchawki zdrady Tito, faszystowskiego caudillo Franco, krzywoprzysiężcy Churchilla, no i wszystkich gangsterów Ameryki Trumana. Mógłbym przedłużać jeszcze tę listę nazwisk ludzi różnych ras i na-

ników całego świata nie wydała tak ohydnych owoców, jak w tych właśnie latach, kiedy organizuje się groźna dla pokoju świata banda „atlantydy”.

Kto dziś w Niemczech i świecie wypowiada się przeciw remilitaryzacji Niemiec zachodnich, ten jest za pokojem, za międzynarodową solidarnością narodów, za trwałą przyjaźnią między wszystkimi narodami w świecie.

Kto natomiast dziś w Niemczech i świecie wypowiada się za remilitaryzacją Niemiec zachodnich, ten jest za wojną, za kosmopolityczną zmovą wsteczniczków całego świata, za nikczemnym kapitalistycznym zwyczajem odradzania najohydniejszych nacjonalistycznych nienawiści mających dzielić narody świata, aby nie wygasły zarzewia nowych wojen.

II.

To odradzanie nacjonalistycznych nienawiści przez międzynarodową szajkę „atlantydy” naród polski ob-

ODEZWA NA MURZE

Zdjęcia: C.O.P.A. — F. MYSZKOWSKI



Listopad 1885 r. w tzw. Kongresówce. Lada dzień odbędzie się proces założyciela „Proletariatu” Ludwika Waryńskiego i jego towarzyszy. Odezwy na murze rozlepiane przez uświadomionych klasowo robotników, budzą towarzyszy do walki o wyzwolenie narodowe i społeczne.



Przrwódcy „Proletariatu” wspólnie z ludem rosyjskim prowadzą walkę z przemocą. Sztandar z hasłem „Proletariusze wszystkich krajów — łączcie się!” szyje rosyjski rewolucjonista, ukrywający się w polskiej robotniczej izbie. Zakonspirowana drukarnia powiela ulotki.



Panowie palą cygara i piją. Burżuazja przemysłowo-finance, wciągawszy w swe interesy część szlachty, toastują na cześć cara, którego żoldactwo chroni ich majątki i ciemniejszy lud. Ale terror nie złamie ducha walki robotników, postępowej inteligencji i pracującego chłopstwa.

TEATR NARODOWY w Warszawie gra obecnie pierwszą naszą sztukę poświęconą dziejom polskiej klasy robotniczej. W „Odezwie na murze” Anny Świrszczyńskiej nazwiska osób działających i fabuła utworu są fikcyjne, a mimo to przemawia ze sceny historyczna prawda o ludziach epoki Ludwika Waryńskiego.

W jednej ze swych wypowiedzi autorka wyznała prosto, że ta epoka pociągnęła ją szczególnie swą dramatycznością i patosem moralnym. Że uderzył ją tragizm losu i wielkość ducha „Proletariatczyków”, ich pionierska odwaga walki z pozornie niezwyciężoną potęgą kapitalizmu.

Stosunek Świrszczyńskiej do tematu był szczerze emocjonalny. Dlatego sztuka wzrusza. Rzetelne przestudiowanie i przeżycie materiału dokumentalnego ustrzegło autorkę przed poważniejszymi błędami politycznymi. Ale pewna miękkość pióra, niedostateczna selekcja wątków (zbyt wiele np. postaci Walczakowej czy Józji), brak dostatecznej pasji — prze-

ładowały sztukę elementem reportażowym, melodramatycznym.

Świetne jednak rezultaty dała współpraca autorki z debiutującym w dziedzinie inscenizacji dramatycznej, znakomitym scenografem Władysławem Daszewskim. Z jego inspiracji zrodzona przeróbka pierwszego obrazu silnie wytyczyła zasadniczą treść sztuki; dopisany obraz trzeci i drobne poprawki w innych, rozwarstwiły postacie robotników; znalazł się też teraz, jako czynnik historycznie niezbędny, przedstawiciel młodej przodującej inteligencji głoszącej wśród robotników ideologię rewolucyjną.

Kilka ról naprawdę udało się autorce. Kilka też ról udało się aktorom. A więc zwłaszcza Kuninie (Matka), Bonackiej (Zośka), Kurnakowiczowi (Iwanow), Chmielewskiemu (Miller), Maciejewskiemu (Kubala). Reżysersko wzmocniła wymowę przedstawienia St. Perzanowska. Sugestywne dekoracje dał R. Nowicki.

(swb.)



Dzieje Proletariatczyków są bohaterskie i tragiczne. Od kul wroga giną najszlachetniejsi. Wyrastają szubienice, mnożą się zestania. Wzmaga się jednak opór, dojrzewa świadomość. Sztandar rewolucji podejmują wciąż nowe, wciąż liczniejsze szeregi, by przekazać go zwycięskim pokoleniom.



W pobliżu Katowic rośnie piękne, nowe osiedle górnictwa — murowane, jedno i dwurodzinne domki otrzymują

ŚWIĘTO POLSKIEGO

TADEUSZ JACKOWSKI

WINDA runęła w dół. Z sekundy na sekundę nabierając szybkości niosła nas w głąb ziemi na poziom 800 — kopalni „Dymitrow”, tej kopalni, która właśnie dzisiaj, w przededniu tradycyjnych obchodów górniczych wykonała swój plan miesięczny. Dobra wiadomość lotem błyskawicy rozniosła się po kopalni. Dotarła na przodki, na ściany węglowe, do najbardziej oddalonych chodników.

W uszach szumiało. Pęd powietrza wdzierał się do klatki. Słabo migotały lampki górnicze. Gwałtowne szarpnięcie, błysk światła i jesteśmy 800 metrów pod powierzchnią ziemi. Teraz idziemy za sztygarem Łączkowskim, który po drodze opowiada o ciężkiej walce załogi o każdy kilogram węgla, o plan oddziału, o plan całej kopalni. Zgięci w pół dotarliśmy wreszcie do odległego przodka, gdzie górnicy młotami pneumatycznymi i dwumetrowymi świdrami walczą z ukrytą w mroczkach czarną ścianą węgla. Atletycznie zbudowany górnik, Erwin Kielbasa, postawił właśnie ostatni stempel i przykucnął obok nas, zapalając papierosa od chwiejnego płomyka karbidówki.

— Poprzednia szychta teraz świętuje — powiedział. — Dzień młodego górnika jest świętem całej kopalni. Większość załogi, to dawne „espejoki”. Oni to właśnie pomogli nam, starszym, wyciągnąć kopalnię z trudności.

Kielbasa zdusił niedopałek papierosa, podniósł się i znowu przystawił do powierzchni ściany żądło świdra, który począł wgrzyzać się w zwałisty maszyn węglowy.

Gdy górnicy „Dymitrowa” i setek innych kopalni, tak jak codziennie, rąbali węgiel, dzień świąteczny zawitał już na osiedle „Ksawera” koło kopalni im. Gen. Zawadzkiego.

Złą sławę miało to osiedle. 10 tysięcy ludzi wegetowało tutaj ongi w warunkach urągających godności ludzkiej, w czerwonych, brudnych, koszarowych budynkach o małych wąskich okienkach, przez które skąpo sączyło się światło słoneczne. W mieszkaniach nie było wody, natomiast obfitowały one bez ograniczenia w wilgoć i grzyb, porastający ściany. Jesienią i wiosną osiedle tonęło w błocie. Dzieci, pozbawione przedszkoli, szukały zabawy w ciasnych i wąskich, jak pierś suchotnicza, podwórkach, pełnych brudu, pyłu i błota.

Tutaj, wśród tej tragicznej spuścizny kapitalizmu, władza ludowa radykalnie zmieniła warunki życia dziesięciu tysięcy ludzi — górników i ich rodzin. Idziemy wśród udekorowanych flagami domów, drogą szeroką, czystą, brukowaną płytami, drogą, która przykryła trzęsawisko. Stare tutaj zostały tylko mury. Osiedle skanalizowano, doprowadzono do mieszkań wodę, zbudowano wszędzie piece, których dawniej w pokojach nie było, wybito w murach nowe, szerokie okna. Część domów została już otynkowana, wszędzie położono nowe podłogi. Tuż za domkami dźwiga się piękny i jasny gmach, bielejący z daleka świeżym tynkiem. Tu właśnie zbudowano piękne, nowoczesne przedszkole. Obok okryty jeszcze rusztowaniami rośnie nowy budynek, w którym zamieszkają nauczyciele.

Osiedle „Ksawera” lśniące i czyste, zdrowe i wygodne, jest jednym z pięknych darów, które państwo ludowe przekazało polskim górnikom w dniu ich tradycyjnego święta za ich ofiarną pracę.

Niedaleko Katowic rośnie nowe osiedle górnicze — „Brynów”. Sliczne, murowane domki jedno i dwurodzinne otrzymają górnicy z kopalni „Wujek”. Dwustu wyróżniających się otrzymało już klucze do nowych mieszkań, a przekazanie osiedla nastąpiło właśnie w przeddzień górniczego święta.

Siedzimy w stołowym pokoju, przy stole nakrytym czystą serwetą w nowym mieszkaniu Pawła Wątroby. Otoczyła nas gromadka dzieci, a żona górnika opowiada o swym starym mieszkaniu na Ligocie. Był tam jeden mały, wilgotny pokój, o ścianach okrytych grzybem, takim samym, jaki żarł mury „Ksawery”.

Gospodyni oprowadzała nas z dumą po swym nowym domostwie. Kuchnia lśni czystością. Obok łazienka z ciepłą i zimną wodą. Domek składa się z dwóch kondygnacji. Na pierwszym piętrze dwa duże słoneczne pokoje. Na parterze też dwa pokoje, kuchnia i spiżarnia. W piwnicy pralnia i suszarnia. Domki, które zwiedzamy, to zaledwie załazek przyszłego wielkiego osiedla. Na przyległych polach rysują się już fundamenty następnych.

Dzień górnika charakteryzuje najlepiej to, co powiedział minister Nieszporek: „Polska Ludowa przychodzi do was dzisiaj w fartuchu murarskim”. Przez trzy dni byliśmy świadkami oddawania do użytku nowych domów i szkół. Oprócz osiedli i Pałacu Młodzieży, starsza młodzież otrzymała pierwszy fragment gmachu politechniki, która została nazwana imieniem Wincentego Pszostowskiego. Rośnie olbrzymi kompleks budynków Wydziału Górniczego Politechniki. Budowa tej uczelni jest decydującym krokiem w kierunku zdobywania nowych zastępów inżynierskich.

Podniosły nastrój panował na centralnej akademii w Katowicach, kiedy śląski górnik, wychowany w osiedlu „Ksawera”, wicepremier Aleksander Zawadzki, mówił do najlepszych synów polskiego Śląska. Przez salę szedł powiew wielkiego czynu śląskich górników. W każdym przemówieniu czuło się nieugiętą gotowość do dalszej walki o węgiel — chleb dla przemysłu. I znów, jak co roku, do czarnych mundurów najlepszych ludzi węgla, minister Nieszporek przypinał najwyższe odznaczenia państwowe — zaszczytne uznanie dla pracy ich rąk.

Kiedy minęły oficjalne uroczystości i zapadł wczesny grudniowy zmierzch, brat górniczy spotkała się na zabawach. W Sosnowcu widzieliśmy przodowników pracy tańczących oberki i polki. Pełno tu było pogody i radości.

Dzień górnika minął. Nastrój święta zastępuje nastrój walki o plany, walki o wykonanie Planu 6-letniego.



SPONTANICZNA OWACJA POWITALI GÓRNIC



ornicze „Brynów”. Wygodne,
górnicy z kopalni „Wujek”.



Dobrze się czuje w nowym mieszkaniu Pelagia Wojtynowa, żona strzałowego
z kopalni „Wujek”. Zadowolone są dzieci — Bogdan, Maryś oraz 6-letnia Kryśia.



Minister Nieszporek dekoruje górnika Wł. Bożka z ko-
palni „Sośnica” orderem Sztandaru Pracy II klasy

D GÓRNIKA

Zdjęcia: Z. MAŁEK



Y WICEPREMIERA ALEKSANDRA ZAWADZKIEGO I MIN. NIESZPORKA NA OBIEDZIE GÓRNICZYM.



Wesoło bawili się górnicy w dniu „Barburki”. Na-
wet na zabawie nie zapomnieli o swych strojach.



Do tańca przygrywała orkiestra regionalna. W taki
oberków, trojaków i kujawiaków tańczyli górnicy.



Min. Nieszporek bawił się razem z nimi. Właśnie
prowadzi regionalny taniec śląski — trojak.

EKRAN i WIDZ

PROGRAM GRUDNIA

21 LUTEGO 1933 roku na prom przewoźnika na Renie wszedł starszy człowiek o bystrych oczach i hiszpańskiej bródce. Nie miał żadnego bagażu, w ręce trzymał parasol. Był to Henryk Mann, który uchodził z Niemiec przed gestapo. W miastach niemieckich bandy brunatno i żółto umundurowanych ludzi rozpałały stosy. W ogień rzucano tysiące książek, które kiedyś uczyły Niemców szacunku dla człowieka. Płomienie pożerały dzieła poetów i pisarzy, wśród nich tomy powieści Manna, „Der Untertan” — „Poddany”. W r. 1914 cenzura carska zabroniła jej rozpowszechniania. W r. 1934 krytyk hitlerowski Adolf Bartels nazwał ją „bezwstydną karykaturą niemieckiego życia”. Przed kilku miesiącami postępowy reżyser niemiecki Wolfgang Staudte opracował na jej podstawie scenariusz i wyreżyserował w NRD-owskiej „Defie” film „Poddany” który oglądamy w programie grudniowym na ekranach kin polskich.

„Poddany” może chwilami wywierać wrażenie satyry graniczącej z groteską, która wyostreza cechy ludzi i zjawisk aż do nieprawdopodobieństwa. A jednak to prawdziwy obraz „prehistorii faszyzmu”. Reżyser Staudte wykorzystał możliwości filmu dla okazania ohyd tego, co złożyło się — w wychowaniu i obyczajach pruskiej burżuazji — na odczłowieczenie ślepo posłusznego „poddanego”, co w czterdzieści lat później pozwoliło Hitlerowi ubrać miliony Niemców w mundury, wcisnąć im w ręce karabiny i poszczuć do mordowania innych narodów.

Werner Peters (pamiętamy go jako gestapowca Willego z filmu „Rodzina Sonnenbruchów”) znakomicie zrozumiał intencje reżysera i stworzył świetny typ bogatego mieszczaucha Diedericha Hesslinga, który przechodzi poprzez różne fazy „obróbki” moralno-politycznej: dom, szkołę, korporację, wojsko, by stać się wreszcie owym ideałem „poddanego”.

Staudte to nie byle majster: buduje swój film tak, by każda scena, każde ujęcie operatorskie było skończoną, jasną pod względem treści, całością. W scenach „komersu” korporacyjnego, czy w scenach koszarowych (wrzask wymyślającego oficera, bezmyślne przysady rekrutów odbite w trąbce trębacza) Staudte stosuje śmiało wyodrębnienie detalu, detalem tym podkreślając tezy filmu.

„Poddany” kończy się akcentem o jasnej wymowie. Wśród ruin hesslingowskiego gniazda, obok ponurego pomnika Wilhelma wzniesionego staraniem Diedericha, pojawiają się robotnicy usuwający gruzy. Jest to rok 1945. Poddany należy do przeszłości. Nowe siły budują nowe życie.

Czy żyją? Dowódca uszkodzonej łodzi podwodnej próbuje porozumieć się przez stalowe ściany kadłuba z załogą odciętą w wodoszczelnej kabine.



TE WESOŁE, ROZESMIANE DZIEWCZĘTA WYSTĘPUJĄ W POGODNYM FILMIE „HOJNE LATO”.

Natomiast ostatnie sceny francuskiego filmu Pierre Chenal’a „Skandal w Clochemerle” nie nasmuwają żadnych wniosków. Widz, otarłszy łzy śmiechu — a śmieje się na tym filmie zdrowo! — zapytuje sam siebie, co go tak w filmie ubawiło i dochodzi do wniosku, iż naprawdę ów skandal w Clochemerle nie jest wcale aż tak zabawny.

Wokół pisuaru w Clochemerle — uroczyscie „za-inaugurowanego” przez ministra Republiki przy warkocie werbli — toczy się homerycki bój „oboju postępu” z „obozem zacofania”. Dewotki wpadają w histериę; święty Roch, patron parafii, traci głowę, odłupaną w czasie bójki w kościele; wojsko okupuje miasteczko; padają ranni — niewierna żona i zdradzony mąż; oficer — amant dostaje po twarzy; grozi przesilenie gabinetowe; biskup interweniuje, a biedny spocony proboszcz spowiadaający się, dla oszczędzenia sił, telegraficznie, wysyła coraz dłuższe depesze.

Gdy skandal cichnie, gdy rozdano Legie Honorowe, a burmistrz awansował na senatora — Clochemerle ma już trzy publiczne szalety i jego ojciec dochodzi do wniosku, że przeprowadzili dość reform dla szczęścia współobywateli.

I to wszystko. Żadnej drogi wyjścia, żadnej sympatycznej postaci. Za mało, jak na spadkobierców Rabelais’a, a za dużo jak na subtelność galickiego humoru. Toteż twórcy filmu nie wysilali się przy nim. Nie wyszli poza szablon, a że ten szablon jest francuski, a więc mimo wszystko zgrabny, widz śmieje się na filmie łatwo.

Pogodny humor, zabarwiony życzliwie, cechuje ludzi silnych. Wiele takiego humoru jest w barwnym radzieckim filmie reżysera Barneta „Hojne lato”, bezpretensjonalnej, prostej opowieści o zwykłym życiu jednego z tysięcy kołchozów, o ludziach, którzy nie zawsze i nie od razu znajdują najlepszą drogę w swej pracy, o małych przejawach wielkich zjawisk.

Jakkolwiek reżyser Barnet nie wydobyl wszystkich zawartych w scenariuszu możliwości — dowiódł, iż nawet tak specjalne zagadnienie jak dyscyplina finansowa w gospodarce spółdzielczej może być przedmiotem artystycznego opracowania. Przewodniczący kołchozu, Nazar Procenko, (gra go N. Kriuczukow) to uczciwy i dzielny człowiek, ale porywczy, lubiący się „szarogęsić”. Przyjaciel Nazara, Piotr Siereda (M. Kuźniecowa), pomaga mu zrozumieć jego błędy. Przy tym okazuje się, iż uporządkowanie stosunku do pracy ułatwia człowiekowi uporządkowanie spraw osobistych.

Film odznacza się ładnymi barwami, zwłaszcza w plenerach, prostotą gry aktorskiej i pogodnym nastrojem. Brak mu tempa i wyraźnego zakończenia.

Młoda, przystojna dziewczyna została wybrana wójtą pewnej wsi w NRD i — jako główna bohaterka — weszła do filmu „Burmistrz Anna”.

Kilometrowe ogonki powstaną na pewno przed kasami kin, wyświetlających inny radziecki film barwny „W dni pokoju” reżysera Brauna. Zestawmy bowiem: morze, zatopiona łódź podwodna, wal-ka z pirackim okrętem, niebezpieczeństwo...

Przygoda załogi łodzi podwodnej, uszkodzonej wybuchem dywersyjnej miny, jest okazją do wykazania wspaniałych moralnych właściwości ludzi wychowanych w szkole socjalizmu, a także siły i bojowej gotowości floty radzieckiej.

Sko- dostaniemy się na seans, zwróćmy uwagę na znakomite w tym filmie zdjęcia, zwłaszcza podwodne, pokazujące pracę nurków ratujących zatopioną łódź oraz świetny obraz zniszczenia przy użyciu bomb głębinowych pirackiej łodzi wroga. Reżyser Braun, specjalista od filmów morskich, nadał akcji żywe tempo i szczególnie w scenach we wnętrzu zatopionej łodzi podwodnej umiał wydobyc dramatyczne napięcie sytuacji. Słabiej wypadły natomiast sceny na lądzie. Wśród aktorów widzimy m. in. Sergiusza Gurzo („Śmiali ludzie”, „Daleko od Moskwy”) w szczerze, prosto zagranej roli marynarza Pancyzuka.

Jeszcze dwa filmy wchodzą do repertuaru grudniowego naszych kin: film NRD — „Burmistrz Anna” (reż. Hans Müller) oraz węgierski film reżysera Gertlera — „Honor i sława”. Niestety jednak filmy te, mimo niewątpliwie ważnej tematyki, którą poruszają, nie stoją na zasługującym na uwagę poziomie artystycznym.

„Burmistrz Anna” (słuszniej: Wójt Anna) to obraz przemian na wsi w NRD, walki z wrogiem klasowym, włączenia się w organizm społeczny NRD przesiedleńców oraz awansu kobiety niemieckiej. Scenariusz jednak porusza te zagadnienia nie dość zdecydowanie (z wyjątkiem może sprawy niemieckiego „kułaka”), a reżyser więcej uwagi i pracy poświęca anegdocie, niż problematyce. Toteż postać głównej bohaterki Anny, wypada słabiej, niż nieistotna dla treści filmu osoba sprytnego dziewczuszki — urwipolcia. Niewłaściwie rozłożone akcenty powodują przesunięcie punktu ciężkości na „ważkie” zagadnienie, czy burmistrz może bez uszczerbku dla powagi urzędu... rodzić dzieci, co, rzecz jasna, zacierza sens założeń filmu.

„Honor i sława” jest tytułem zbyt pompadycznym dla tego słabego filmu, w którym zbyt obfita treść burzy równowagę założeń i nie daje widzowi jasnego obrazu zagadnień. Zbyt wiele bowiem chciał powiedzieć scenarzysta Istwan Orkeny, a reżyser Gertler nie umiał sobie poradzić z jego materiałem. Razem zrobili niewiele.

STANISŁAW GRZELECKI

Miejscowy kułak nie chce uznać autorytetu „wójty w spódnicy”, awansu społecznego kobiety. Ale opór ten skończy się fiaskiem wroga klasowego.



NOWINY I KASTANIETY

JERZY WALDORFF

ZANIM weźmiemy się do dalszej porcji wiedzy o orkiestrze symfonicznej, zróbmy najpierw krótki przegląd aktualnych wydarzeń muzycznych. Żle bowiem było by, gdybyśmy wypadli z rytmu życia muzycznego, a nadto pamiętać trzeba, iż kulturalny człowiek winien interesować się muzyką nie tylko na jednym odcinku, lecz na jak najszerszym terenie jej oddziaływania.

NOWINY

W chwili kiedy to piszę, najważniejsze wydarzenie muzyczne na terenie naszego kraju — Festiwal Muzyki Polskiej, jest jeszcze w pełnym toku. Z chwilą, gdy niniejszy numer „Świata” dojdzie do Waszych rąk —

komponujemy i gramy, przestanie istnieć. Nowoczesny kompozytor jest człowiekiem produkującym rzeczy nikomu niepotrzebne. Jest jak fabrykant, który wypuszczałyby na rynek kapelusze, buty i gorsety na nikogo nie pasujące. — W istocie! Jeśli chodzi o zachodni modernizm muzyczny, goniący za oryginalnością dla oryginalności i za dziwactwami dźwiękowymi — to ten modernizm z pewnością przestanie wkrótce istnieć, wobec niechęci doń słuchaczy.

Opera w Grazu (Austria) wystawiła „Rigoletto” Verdiego. Z tej okazji krytyk R. Ahne napisał, iż chór operowy w Grazu śpiewa jak stado pin-



o, Czytelnicy — Festiwal będzie już zakończony, lecz trwać będą jego dalekosiężne skutki. Dlatego, chociaż Festiwalowi poświęciliśmy sporo miejsca, jeszcze z pewnością przyjdzie nam w „Świecie” do niego powracać.

Jak wiadomo, balet Szymanowskiego „Harnasie” nie wypełnia całego wieczoru i trzeba pobok wystawić coś innego. Opera Warszawska, która da premierę „Harnasiów”, jeszcze może w ramach Festiwalu, zdecydowała się wystawić razem z utancznią „Serenadą na kwintet smyczkowy” Karłowicza. Doskonale pomysł! Podczas jednego wieczoru usłyszymy dzieła dwóch najwybitniejszych polskich kompozytorów XX wieku, a nadto delikatna w brzmieniu „Serenada smyczkowa” dobrze będzie kontrastować z wielką masą brzmieniową „Harnasiów”. Serenadę — klasycznie, „Harnasie” — ludowo — na podkładzie klasycznym, opracowuje od strony układu baletowego (zdradzmy, że b. ciekawie!) St. Miszczyk.

Konserwatorium Moskiewskie obchodzi w tym roku 85-tą rocznicę istnienia. Założył je Mikołaj Rubinstejn (brat znakomitego kompozytora Antoniego), jednym z pierwszych profesorów był wielki Czajkowski, Rachmaninow, Skriabin i z młodszych — Chaczaturian, oraz świetny pianista Oborin — oto kilka przodujących nazwisk wychowanków zasłużonej uczelni. Z Polaków studiował m. in. w Konserwatorium Moskiewskim jeden z najwybitniejszych naszych skrzypków — St. Barcewicz. 2000 uczniów, biblioteka konserwatoryjna z 400.000 dzieł, 15.000 płyt w fonotece: te cyfry mówią wymownie o tym, jak nacisk kładzie się w ZSRR na rozwój kultury muzycznej.

Opera Budapeszteńska wystawia „Halke” Moniuszki. W tym celu wyjechali do Budapesztu dwaj doskonali nasi realizatorzy tej opery: dyrygent W. Bierdajew i baletmistrz E. Papiński.

Czołowy francuski kompozytor-modernista, Artur Honneger wydał książkę pt. „Jestem kompozytorem”. Oto fragment: „Jestem przekonany, że za niewiele lat muzyka — ta, którą

czarów. Zaskarżony o obrazę do sądu, Ahne został uniewinniony na podstawie opinii eksperta-zoologa, że pin-czery są szlachetną rasą psów i porównanie z nimi nie może ludziom ubliżać. Chór odwołał się i sprawa jest teraz w Sądzie Apelacyjnym. Zgodnie z obyczajami i swoistą „kulturą” zachodu, w składzie Sądu Apelacyjnego winienby zasiadać — wyżej.

RESZTA PERKUSJI

Tydzień temu omówiliśmy, z grupy perkusji o nieokreślonej wysokości dźwięku: wielki i mały bęben, cymbale, oraz gong. Pozostały jeszcze:

TRÓJKAT, zwany także z włoską — trianłem. Jest to pręt stalowy, wygięty w kształcie niewielkiego trójkąta. Uderzając weń drugim prętem stalowym wydobywa się z trianla dźwięk wysoki i krystaliczny, coś jak gdyby dźwięk dzwoneczków u sań. Na co komu taki dźwięk? — Widocznie jest w orkiestrze potrzebny, skoro stosuje go np. Beethoven w swojej IX Symfonii.

TAMBURYŃ zwany także bębniem baskijskim, składa się z małego obręczy drewnianej, obciągniętej z jednej strony skórą. W obręcz wmontowane są luźno metalowe blaszki. brzękające przy potrząsaniu tamburyńem. Prócz potrząsania, bije się także dłońmi o skórę instrumentu, a to wszystko dla podkreślenia w danym utworze muzycznym nastroju hiszpańskiego. Również ludowo-hiszpańskiego pochodzenia są

KASTANIETY składające się z dwóch par drewnianych muszli, zwyczaj hebanowych, połączonych swobodnie sznurkiem. Każdą parę zakłada grający na jedną dłoń i przez odpowiednie ruszanie palcami — co powoduje uderzenie muszli o muszlę — wydobywa z kastanietów suchy, charakterystyczny klekot. Gra na kastanietach wcale nie jest łatwa i istnieją mistrze specjalnie podziwiani za grę na tym instrumencie, towarzyszącą przede wszystkim hiszpańskim tańcom.

Na tym kończymy z perkusją, czyli z czwartą i ostatnią podstawową grupą instrumentów w orkiestrze symfonicznej. Pozostają nam jeszcze do omówienia instrumenty wchodzące w skład orkiestry pojedynczo, lecz bardzo silnie związane z jej brzmieniem: harfa, fortepian (blisko pokrewny grupie perkusji!) i organy.



„Banda, frak... dekel, znak, to piękne, to mi się podoba...” — śpiewano przed wojną o warszawskich korporantach. Spójrzmy na tych pokiereszowanych burszów z „Poddanego” — piosenka ta sama: kult siły, pieniądza i występku.



Twórcy filmu „Skandal w Clochemerle” nie wyszli poza szablon, a że szablon ten jest francuski, a więc mimo wszystko zgrabny — widz śmieje się łatwo

Nie łatwo jest zdobyć się na pogodną minę, gdy dzielna żona ustawicznie prześciga swego męża we współzawodnictwie pracy. Zagadnienie jest aktualne — toteż widzowie śledzą z zainteresowaniem fabułę filmu.





W JASKRAWYCH PROMIENIACH SŁONCA PODCHODZILI POD LODOWIEC BOGDANOWICZA.



WYCZYN 99 ŚMIAŁYCH

GORY nazywają się Zaalijski Ała-Tau i wchodzą w skład Tiań Szania. Biegają wzdłuż granicy Kazachstanu z Kirgizją. Najwyższe ich szczyty przekraczają 5.300 metrów. Jednym z najbardziej niedostępnych jest szczyt „Szkolnik”.

„Szkolnik” znaczy po polsku — „uczeń”. Trzeba być jednak nie uczniem, ale doświadczonym i wprawnym alpinistą, by zdobyć ten szczyt w warunkach wczesnej zimy tiańszańskiej.

Tej trudnej sztuki dokazało niedawno 99 młodych mieszkańców Alma-Aty, stolicy Kazachstanu. Odważni alpiści poświęcili swój wyczyn światowemu ruchowi obrońców pokoju. Uwieńczeniem wyprawy było zatknięcie na śnieżnym szczycie „Szkolnika” niebieskiej flagi z białym gołębem.

Przed rozpoczęciem wspinaczki uczestnicy przeszli kurs przygotowawczy w uroczysku Gorelnik pod Alma-Atą. Dopiero po tym uzupełnili ekwipunek i ruszyli w góry. Droga wiodła przez trudno dostępną przełęcz Tałgarską i lodowiec Bogdanowicza. W czwartym dniu wspinaczki alpiści rozpoczęli szturm „Szkolnika”. Przewyciężyli silny wiatr z zadymką — i gdy burza ucichła, na szczycie góry zatrzepotała flaga z gołębem pokoju.



W przeddzień decydującego szturmu namioty rozbito na pięknej, górskiej polanie na wysokości 3.000 metrów. Jutro — droga na szczyt „Szkolnika”.



Wiele było zebrań i wieców w obronie pokoju w listopadzie roku bieżącego. Ale ten był niezwykle: odbywał się nad chmurami, na szczycie „Szkolnika”.



Przez burze i zadymki szło dziewięćdziesięciu dziewięciu śmiałych. I oto cel wyprawy osiągnięty: na śnieżnym szczycie zatrzepotała flaga pokoju.



"ORJUNSUM" — TO TANIEC MONGOLSKI, OPRACOWANY PRZEZ TSIA CZUE-KWANGA.



Wśród członków Zespołu Młodzieżowego Chińskiej Republiki Ludowej nie brak żołnierzy i oficerów

Armii Ludowej. Oto młode Chinki - ochotniczki po przybyciu na Dworzec Główny w Warszawie.



Motywu walki wyzwoleniczej przejawia się często w twórczości scenicznej Chin Ludowych.



Balansować równocześnie pięcioma talerzami — to nie takie proste. Szczególnie gdy się stoi na głowie...



SZTUKA CHIN

Fot. CAF i W. PIOTROWSKI

WCZORAJ oklaskiwali ich górnicy Śląska, dziś gorąco podejmuje ich Warszawa, a jutro zobaczą się z nimi budowniczowie Nowej Huty, włókniarze Żyrardowa i ludność wielu innych zakątków kraju. Bawiący bowiem u nas na występach gościnnych 212-osobowy Zespół Młodzieżowy Chińskiej Republiki Ludowej odwiedzi w czasie swojego „polskiego tournée” nie tylko wielkie miasta, lecz dotrze nawet aż hen w Rzeszowskie.

Członkowie zespołu to młodzi chłopcy i dziewczęta — studenci wyższych uczelni, to młodzi żołnierze i oficerowie Ludowej Armii, nie rzadko kawalerowie najwyższych odznaczeń bojowych. Wywalczyli oni sobie drogę do sztuki karabinem pod Lunghua, czy granatami na barykadach Szanghaju. Dziś chlubnie reprezentują za granicą kulturalny dorobek swej wyzwolonej ojczyzny. I dzięki nim właśnie możemy po raz pierwszy podziwiać na scenach polskich chiński dramat, chińską operę, po raz pierwszy możemy posłuchać chińskiej orkiestry i solistów, obejrzeć piękne, ludowe tańce.

Repertuar zespołu zestawiony został tak umiejętnie, że widz w ciągu jednego spektaklu może się zapoznać ze wszystkimi niemal dziedzinami muzycznej i scenicznej sztuki Chin historycznych i Chin dzisiejszych. Mamy więc fragment liczącego dziesiątki wieków dramatu narodowego pod tytułem „Ostatnia bitwa Czu i Han”, obok scen ze współczesnych utworów, jak na przykład „Wysadzenie wieży”. Jest to autentyczna opowieść o chińskim Matrosowie — żołnierzu 11 Dywizji Armii Ludowej, który poświęcając własne życie, zniszczył ważne gniazdo oporu nieprzyjaciela.

Goście chińscy pokazują nam także w całości jedno z najcenniejszych dzieł współczesnej dramaturgii, słynną już „Dziewczynę o białych włosach”, napisaną przez Ho Czang-czih'a i Ting-Hsin'a, wg. rozpowszechnionej w całych Chinach ludowej opowieści z czasów inwazji japońskiej.

Szczególne zainteresowanie budzi zwłaszcza I akt najnowszej opery chińskiej, pod tytułem „Naprzód ramię przy ramieniu”. Jest to przeniesiony na scenę opis prawdziwych wydarzeń z okresu walk na Korei zimą 1950 roku.

Osobno wspomnieć trzeba o towarzyszących zespołowi znakomitych solistach, a więc przede wszystkim o Czang Pang-czang'u, który wyczynia istne cuda na oryginalnym ludowym instrumencie, zwanym „pi-pa”, dalej o śpewakach: Li Dzo-su (bas) i obdarzonej pięknym, dźwięcznym sopranem młodziutkiej Go Lan-jing. Wszyscy oni są laureatami konkursu muzycznego, który odbył się w czasie III Międzynarodowego Zlotu Młodzieżowego w Berlinie.

A. W. W.

UCZTA BALTAZARA

POWIEŚĆ

Ilustracje: IRENA KUCZBORSKA

Lecz już przedtem obaj pomocnicy skontrolowali i to. I sygnalista również. I Uriaszewicz, przechyliwszy się, zajrzał: skobelek, uniemożliwiający odkręcanie się helmu w wodzie, został opuszczony.

— Kurz — spogląda w dół Uriaszewicz.

— Eee tu? — zaprzecza Garcz. — Żaden!

Banieczki powietrza uchodzącego z aparatu, oznaczają gdzie jest Konkol. Z dna unosi się mąt, na którego temat zaczyna się toczyć rozmowa.

— Zaraz się ustoi — Garcz stwierdza. — Na tym odcinku jest dobrze.

Banieczki przesuwają się. Pompa terkocze. Woda zwolna staje się przezroczysta.

— Bywa czasami, że nic nie widać. Nic a nic! — Garcz o szerokiej twarzy, żywych oczach i ciężkich ruchach rozkłada ręce. — A jeszcze jak dojdzie do tego grunt lechczywy! Pioruny! Palcem ruszysz i już ciemno, jak gdyby światło zgasił. I potem albo trzeba czekać aż się zgodzi opaść, albo pracować po omacku.

Sygnalista nie wypuszcza z rąk linki, tylko od czasu do czasu nią porusza. Konkol takim samym pojedynczym, krótkim targnięciem odwzajemnia sygnał na znak, że wszystko dobrze.

— Jak tam? — interesuje się Uriaszewicz.

— W porządku.

Teraz woda wszędzie stała się czyściutka, przezroczysta. Konkol pracuje na siedmiometrowej głębokości. Spuścił strop od wewnątrz kesonu do samego spodu. Obecnie od zewnątrz bosakiem stara się strop uchwycić za oko, to jest za pętlę na końcu stalowej liny, żeby przeciągnąć przez wyrwę pod ścianą. Ściana ma położenie bezpieczne: tylko nieznaczny przechył do środka kesonu. Z pozoru stoi mocno. Gdyby nie jedno poważne pęknięcie poziome, tuż nad linią kamiennego fundamentu, ten i ów mógłby ją w rezultacie uznać za zdrową. Bosak na drugą stronę przechodzi łatwo. Konkol przesuwając go po dnie kesonu. Jakos nie napotyka oka. Ale również — co dziwniejsze — nie napotyka przeszkód ze strony uzbrojenia ściany. Wybuch, który najczęściej otrząsa tylko beton z żelaznych prętów, tutaj najwidoczniej całe je od spodu potrzaskał.

— Więcej — woła ku pompie sygnalista. Chodzi o powietrze dla Konkola, który w linkowym kodzie podał o nie sygnał dwukrotnym targnięciem.

— Nie za dużo! Żeby go nie skoziółkowało! — wtrąca się Uriaszewicz.

— Jego? — uspokaja go w tej mierze Garcz. — Skąd!

Uważa, że Konkolowi nie może się zdarzyć, by mu nogi poszły w górę, zaś głowa w dół, o co łatwo, gdy nurek zaczyna dostawać więcej powietrza, a należy do tych, którzy potrafią zapominać o wentyli. Wtedy powietrze zwolna gromadzi się w dolnych częściach kombinezonu, rozdyma je, rozdyma, aż błyskawicznie poderwie i przewróci. Nie trudno w takim wypadku o nieszczęście. Co do Konkola jednak pod tym względem można nie żywić obaw. Pracuje regularnie skronią, machinalnie raz po raz naciskając wypust.

— Dobrze więc — zreasumował cel swego przybycia na ponton Uriaszewicz. — To dźwig na jutro.

— W porządku.

Garcz po zmiaranie rozporządzał czasem. W jego skafandrze teraz pracował Konkol. A on, żeby z siebie przepędzić ziać i wilgoć, wyciągnął się jak długi na deskach pontonu. Na słońcu. Lecz coś mu przyszło na myśl, bo w pewnej chwili, przewróciwszy się na bok, najpierw zanurzył rękę w wodę, a potem zaczął stawiać na pokładzie jakieś kreski.

— My tu łączymy i łączymy ten falochron — rzekł. — A w przyszłości będzie przebiegał inaczej. Ot jak:

Zwilżonym palcem rysował plan. Port w Olikanie, podobnie jak w Darłowie czy Kołobrzegu, nastawiony przed wojną na sezonowy handel, miał wejście na jesień czy w zimie przy pewnych kierunkach wiatrów — karkołomne. Ale teraz, z taką kulą u nogi, nie podołałby swoim nowym zadaniom. Zapadła więc decyzja, by go w następnej fazie po usprawnieniu, od podstaw przebudować.

— Do Usłki — powiedział Uriaszewicz — przy silnych wiatrach z kierunków prawie od północnego zachodu do północnego wschodu, w ogóle nie puści. Był cały ogarnięty nową wiedzą.

— Ależ to będzie nurków potrzeba — zażył się Garcz. — Nurków, a nurków.

— Gdyń też mamy przeplanować. Tak samo Szczecin! Gdańsk!

— A przed wojną w Gdańsku był tylko jeden nurek na stałym etacie — odezwał się sygnalista. — Zaś poza jednym wchodzili ludzie do wody jedynie dorywczo.

— Znałem przed wojną Gdańsk — odwrócił się starszy z pomocy nurkowej.

— Tam w porcie, co sto lat temu postavili, to zostawili.

— Całkiem inaczej niż w Gdyni — przypomniał sobie Uriaszewicz.

— A całkiem — oczy Garcza zamigotały drwiąco. — U nas w porcie stawiali, dużo stawiali. Tylko że ręce cudzoziemskie!

Po tych słowach zwiłkł z siebie koszulę i cisnął ją w bok. A sam leżał płasko, szeroką twarz i muskularny tors wystawiwszy na promienie. Uriaszewicz, który przedtem przysiadł, chcąc się przyjrzeć mazaniu Garcza, teraz oparł się dłonią o pokład, żeby wstać. I nagle właśnie tą dłonią pochwycił dreszcz, jaki na sekundę wprawił w drżenie cały ponton. Garcz poczuł ten dreszcz w plecach. Sygnalista i obaj z pomocy nurkowej w stopach. A z tym każdy — mrowie w sercu! Garcz zerwał się na równe nogi.

— Co znów?

Zanim ktokolwiek zareagował na to pytanie, zrozumieli wszyscy w czym rzecz, nie wyłączając Uriaszewicza. Bo momentalnie wszędzie tam, gdzie się dotychczas pojawiały banieczki powietrza z aparatu Konkola — woda zawirowała. — Na fali wyniesiony z dna pokazał się żwir i piach. Toń pociemniała.

— Ścianę przewaliło — zmartwiał sygnalista.

— Linka — zawołał łamiącym się głosem Garcz. — Jak linka!

Podbiegł, wyrwał ją z palców sygnalisty, sam pociągnął i pobladł. Linka była twarda. Bez żadnej elastyczności, jak nieżywa. Tak sztywno nigdy jej nie będzie trzymać ludzka ręka.

— Przywaliło go — szepnął.

Przez ten czas Uriaszewicz sprawdził, że manometr zaczyna skakać.

— Przywaliło wąż? — zaniepokoił się. — Nie przechodzi powietrze?

Przechodziło jeszcze. Ale widać ciężko. Koła pompy obracały się z wysiłkiem. Ten sam ciężar, który uwięził linkę sygnalizacyjną, dusił węża od powietrza. Tylko że wąż wymoszczony od środka stalową sprężyną, był odporniejszy.

— Przepuszcza? — naglił Uriaszewicz. — No co, przepuszcza?

— Prze-pu-szcza — wytchnął z trudnością jeden z pompujących.

— Słabo — dodał niedosłyszalnie drugi.

— Jak ciśnienie?

— Jeszcze nie takie paskudne.

Na brudnej, miejscami rudawej, miejscami żółtawej powierzchni wody, nigdzie nie było znaków powietrza. Ale przy skąpym dopływie, Konkol mógł całe zatrzymać.

— O! o! Tam!

Nie zatrzymywał. Kiedy oczy wszystkich poszły w kierunku, który wskazywał Uriaszewicz, ekipa pierwszy raz od momentu, gdy przez ponton przebiegł wstrząs, odetchnęła. W jednym punkcie woda charakterystycznie, chociaż i anemicznie i z dużymi przerwami, bulgotała.

— Podać mu strop z pętlą — podsunął wyjście sygnalista.

Nie wypuszczał z rąk linki, mimo że była sztywna. Lecz elastyczność mogła wrócić. Nadzieja przecież istniała! Garcz schylił się po strop. Obejrzał pętlę.

— A pan weźmie wiosło — rzucił Uriaszewiczowi. — Tylko spokojnie... Tylko spokojnie!... Spokojnie...

Powtarzał te słowa co jakiś czas i nie przestał nawet wtedy, kiedy znaleźli się nad miejscem, gdzie musiał być Konkol. Powtarzał je, kiedy Uriaszewicz manewrował motorówką przy pomocy wiosła, nie motoru, ze względu na to, by jak najmniej wprawiać w ruch wodę. Powtarzał je potem w duchu do siebie, kiedy począł spuszczać strop z pętlą.

— Jak ciśnienie? — zwracał się co chwila do pompujących Uriaszewicz.

— Paskudne.

— Dno — ledwo poruszył wargami Garcz. W zasięgu ręki sunął pętlą po dnie. Wychylał się i trąlował, trąlował. Z wyczuciem. W napięciu.

— Jak tam?

Z kolei ponton prosił o jakąś wiadomość. Nie było żadnej! Pętla co pewien czas zaczepiała się. Wtedy Garcz wprawiał ją w ruch szarpnięciem. — I — czekał. Cekał — na próżno. Odczepiał, często z trudem i znów przesunął. Jeszcze o stopę dalej. Jeszcze o stopę dalej w bok. Wciąż powtarzało się to samo. Za pętlę chwytały kamienie czy występy, ale nie Konkol. Tymczasem zwalony kawał ściany, który linkę przygwoździł do dna na amen, wąż powietrzny zakleszczywszy tylko częściowo, mógł go za chwilę przynieść doszczętnie. Albo Konkola... jeżeli tego w ogóle jeszcze nie uczynił!

— Jak tam?

Cisza... Nadal cisza... Wtem:

— Jest!

— Jest?

— Jest! Jest!

Garcz sprawdził. Ponawia charakterystyczne, krótkie targnięcie. I takie samo po sekundzie odzywa się w stropie. W ustach, w gardle, w piersiach, w plecach Garcza rozlewa się ciepło.

— Jest — podnosi w górę głowę. — Daje sygnał.

Teraz inicjatywę ma Konkol. Garcz nie wątpi, że Konkol wie, co robić. Ze w takich okolicznościach musi zamocować pętlę, by potem wspólnymi siłami z tym, który mu ją podał, ruszyć zaporę.

— Czepia? — denerwuje się ponton.

Jest się czym denerwować. Bo jeśli go dostało w ten sposób, że nie może swobodnie operować rękami? — W teorii bywa tak, a w praktyce inaczej. Różnie bywa.

— Uczepił!

To oznajmiwszy, Garcz resztą stropu, którą ma na motorówce, owija się przez plecy. Przez nagie plecy. Ciasno, ciasno. Poczem klęka.

— Jak dalej? — indaguje Uriaszewicz. — Zapuścić motor?

Rozumie, że Garcz po prostu chce odholować z Konkola ciężar. Nie rozumie jedynie, czemu czyni z siebie poler, zamiast zamocować strop na motorówce.

— Nie — mówi Bator — motorem będzie za ostro.

I dźwiga się z kolan, napręża mięśnie. Z napięciem, ale iak najostrożniej. Bo czasem w takich sytuacjach łatwiej wszystko przewalić, niż odwalić. A całą rękę od bark do czubka palców ma na stropie: na czuciu.

Po kilku minutach ponton komunikuje, że powietrze z pompy idzie luźno. Po dalszych trzech, że linka sygnalizacyjna Konkola przestała być sztywna. Na koniec, że on sam się ruszył.

— Garcz! Już! Daj sobie spokój! — przekrzykuje sygnalista z pomocy od pomp. — Wyszedł! Wyszedł!

Garcz uwalnia się. Podnosi całkowicie z kolan. Patrzy, gdzie teraz bańki powietrza znaczą obecność Konkola. Widać doskonale, jak wyraźną musującą smugą zdążają w stronę pontonu. A po kilkunastu sekundach wynurza się sam Konkol.



— Ech, ty, Józek — mówi do niego Garcz, kiedy nareszcie wyskakuje z motorówki na ponton. — Coś tam dziadu zmajstrował?

Konkol już ma hełm zdjęty, balasty, pelerynkę. Sięga do głowy po czapeczkę. Odbiera mu ją z rąk Uriaszewicz. Jest lepka, mokra od potu.

— Pociągnęłam mocniej za bosak, jak mi się tak zaciął — kończy swoją relację Konkol. — A tu nagle, jak nie poleciał na mnie! Jak nie sponiewiera na ziemię! I ani się rusz!

Zastanawia się:

— Nieostrożności nie było. Takie parszywe pęknięcie!

— Że też się ono czasem tak potrafi utaić.

— ...Potrafi, potrafi.

Na te kolejne wypowiedzi sygnalisty i starszego z pomocy, oświadcza Konkol:

— A nastąpi kiedyś pora, że człowiek wszędzie będzie pracował bez ryzyka. Ja wam mówię.

Zwraca się do Garcza:

— Daj papierosa.

Garcz kładzie mu go do ust i zapalając nachyla się. Wtedy wzrok Konkola pada na plecy Garcza poznaczone sinymi pręgami.

— Ten Garcz! Ten Garcz! — zgaduje wszystko, lecz krzywi się jeno. — Gałgana nawet sobie koleżka nie podłożył.

Po czym przez chwilę słucha co gadają, mało się miesza. Z pochyloną głową siedzi nieruchomo. Ma opuszczone powieki. Ale po kwadransie przychodzi do siebie.

— Gdzieście dali krymkę, — ogląda się na wszystkie strony. Kładzie ją potem na głowę i zasiada do ubierania, zamykając wypadek krótko: — Dość tego dobrego! Jutro dzwigi!

Joanna d'Urcins Uriaszewiczówna wysiadła z taksówki i rozejrzała się wokoło. Serce jej biło. Skurcz w gardle nie dawał oddychać. Ręce drżały. Zwolna opanowała się i swoim wystudiowanym, elastycznym krokiem ruszyła przed siebie.

Klimontówna upewniła, że siostr nie będzie. Mimo to kazała się taksówce zawieźć się na plac Bankowy, o cały kawał od dawnych zakładów lewartowskich. Żrenice latały jej niespokojnie. A kiedy dostrzegła stróżówkę zamieszkałą przez matkę, przystanęła. Przestrzeń przed jej wzrokiem rozciągała się wolno. W prawo, w lewo i kilkaset kroków na wprost falował cały pas miasta, wyburzony, oczyszczony, a teraz z kolei poddany pracowitej terenowej rzeźbie. Jak okiem sięgnąć ludzie darli grunt, olbrzymie kopaczki wżerały się weń, zaś przenosiły go na potrzebne miejsce albo usuwały dalej wagoniki krętych wąskotorowych linii, lub furmanki. Zdawał się tu ramię w ramię poć człowiek, maszyna, zwierzę, równając pod nową drogę pas długi na całe kilometry, wywożąc z dawnej posesji Lewartów gruz ze zburzonych magazynów, z domu mieszkalnego, z fabryki. A także wybierając cegłę z rozbitego laboratorium. Cegłę z resztek murów i z piwnic. Z tych pustych rupieciarni, gdzie jeno gnił kot, do których w poszukiwaniu „Ucztu” obawiał się zejść Uriaszewicz, aż poprosił Haze, by go na czas tej wyprawy wziął na linkę.

Podeszła bliżej pod samą stróżówkę. Spojrzała w okno na pięterku.

— Można — spytała.

— Proszę — odparła Klimontówna.

Joanna wyprostowawszy się, przekroczyła próg. Pochyliła się nad matką, lecz zamiast pięknej młodej pani sprzed ćwierćwiecza i głodziutkiego, o złotych warkoczach jeszcze niemal dziecka, patrzyły na siebie dwie kobiety: staruszka o oczach nabiegłych krwią, cerze pożółklej i druga — dojrzała, o twarzy już zniszczonej. Minęło kilkanaście sekund, zanim do siebie przypadły.

Mówić im było trudno, jak po każdym długim niewidzeniu. Zaledwie wspomnieli ciepłym słowem Klimontównę, która po liście od Andrzeja zgodziła się im pomóc, już urwały. Jakże było dłużej się nad tym zatrzymywać, nie wspominając nic o Wandzie i Tosi. O ich roli, o ich uporze.

— A tańczysz jeszcze? — szepnęła w pewnej chwili pani Uriaszewiczowa.

— Już nie.

— Nie będziesz?

— Czemu mama pyta?

— Ach nie. Bez powodu.

Brną ciężko przez zdania, bo każde z nich ma podejrzaną brzmienie. Dzwieczy aluzją, wymówką, pretensją, żalem. Powiadają więc coś, wycofują się. Co tylko rzekną, już się starają zatrzeć wrażenie. A z drugiej strony w tej sytuacji jakże milczeć. Długie pauzy fizycznie bola.

Tak doszło do tego, że padła z ust artystki pewna propozycja. Na górze u Klimontówny znajdował się jej kostium. Naszyty w lili błękitny kabat oraz srebrzyste trykoty. Wszystko więc czego jej było potrzeba do świętej Joanny.

— O — usta pani Uriaszewiczowej zadrżały, kiedy Joanna wróciła z góry. — Jak ślicznie.

Lecz lży jej przeszkadzały widzieć cokolwiek. Joannie wzruszenie — tańczyć. Nie tylko jednak ono. Ani brak kondycji. Ani też fakt, że ostatnio nie ćwiczyła. Lecz, że znowu była chora, a nie szanowała się. Nie szanowała się. A nawet znacznie gorzej.

— Jeszcze minutkę — myślała, walcząc z sobą o uśmiech — jeszcze minutkę.

Lecz nie dotańczyła. Nagle jakaś pieść grzmotnęła w okno. Nerwowe kroki obiegły wokoło stróżówkę. Tosia, którą czymś zgniewał na siebie właśnie przydany Zawaczyński zastępca, wróciła o całą godzinę wcześniej z kościoła. Teraz ze zgrozą w duszy, z sercem bijącym z niepokoju o matkę, z oburzającym obrazem w zgorzniętych oczach wpadła do pokoju.

— Jezu Nazareński — załamała ręce — takie rzeczy!

Nie ten okrzyk jednak uciął taniec Joanny, ani przed tym stłuczona z wściekłości przez Tosię szyba. Tylko przeraźliwy ból w stawach, dotąd ślimaczący się w kolanach, w stopach, w łokciach, ośmielany ostatnio na wszelkie sposoby przez życie Joanny, który teraz pod wpływem przypadkowego bodźca wykonał nagły skok. Joanna biała jak papier, z kroplami zimnego, kwaśnowonnego potu na czole, z szybko malejącym tętnem, gryzła poduszkę. I klęła, i klęła. Półprzutomną zaopiekowała się Klimontówna, kiedy zbiegła z góry i posłała zaraz po dorożkę Tosię miotaną sprzecznymi uczuciami. Zaś wieczorem trzeba było Joannę przewieźć do kliniki.

ROZDZIAŁ XXIII

Uriaszewicz nieraz wspominał pierwsze dni po przyjeździe do Olikany, a zwłaszcza dzień kiedy z dworca skierował swe kroki do kapitanatu, a nie zastawszy Birkuta, udał się do sali kina, gdzie o tej godzinie zgromadziła się nieomal cała ludność miasteczka. Wślizgnął się wtedy i stanął przy drzwiach.

— Drodzy towarzysze i obywatele — usłyszał wówczas słowa kap. Birkuta, przechodzącego do drugiej części przemówienia — dwa lata temu skończyła się dla Olikany wojna, a zaczął się pokój. Z Gdyni przystano nas tu zaraz dla objęcia portu. Pierwszych pięciu ludzi ze starej Polski! W mieście nie było światła, nie było wody, nie było chleba. Kolej była nieczynna, przez ulice zagruzowane, poprzekopywane, pokryte lejami od bomb, nie było przejazdu. Port sharatany niemiłosiernie, stał cichy.

Niski, donośny głos kapitana wypełniał całą salę kinową: płynął spokojnie. Kapitan przemawiał wprost zza stołu prezydialnego, szeroko rozłożywszy ręce, mocno na nich wsparty, nieruchomy. Bez gestów, bez zwykłego rozmachu. Musiał być przejęty.

„Dowiół nas starosta z Krzeniewa — mówił dalej. — Razem z nim obejrzelśmy wszystko. Wszystko wzdłuż, od mola zachodniego wchodzącego najgłębiej w morze, kończąc na moście kolejowym, zamykającym port od strony miasta. I wszystko wszcz, poczynając od kapitanatu, aż po ostatni hangar pod wydrami po przeciwnym brzegu. Nie było głowicy, nie było mostu, nie było kapitanatu, nie było żadnych hangarów! Ot, port — gruchot! Grat! Sam szmelc. W tym okresie człowiek dużo się napatrzył zniszczeniom. Zniszczeniom portowym też. Ale w Olikanie jedynym rzutem oka ogarniał położenie. Nie mógł się pocieszać w taki sposób, w jaki szukał pocieszenia w Gdyni czy w Gdańsku, że w innej części portu jest lepiej. Tu miał jak na dłoni cały interes.

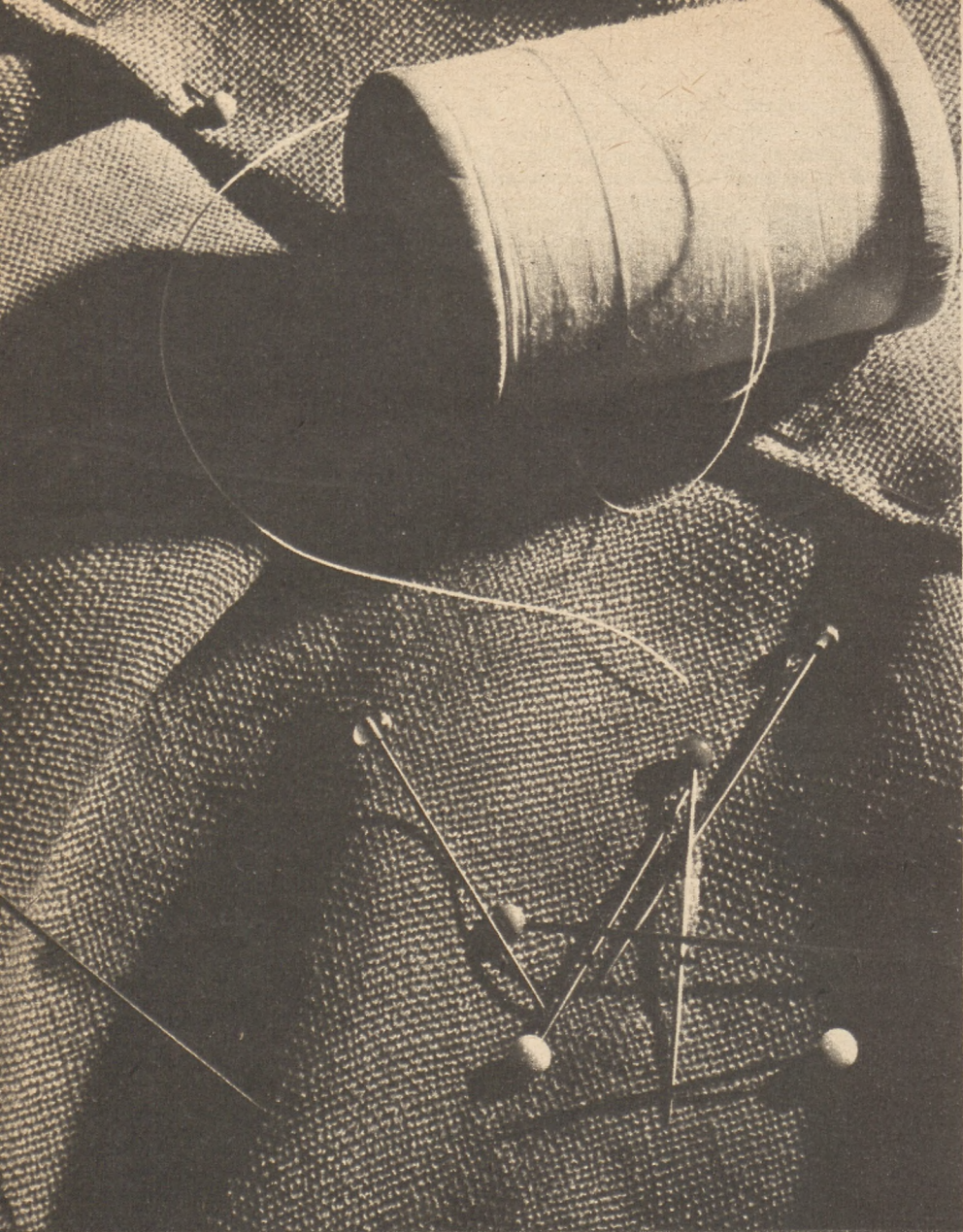
„Usiedliśmy na nabrzeżu — ciągnął Birkut — na gołym kamieniu, rzędem jeden koło drugiego. Zakurzyliśmy, zapatrzeni przed siebie, nie chciało się rozmawiać, człowiek był oswiały. W takim przypadku, póki o co ręk nie zaczepi, każdy czuje się marnie. — „No, jak tam, panowie? — zwrócił się do nas w pewnym momencie starosta. Bosman Czeczuga załatwił za nas jego pytanie: — A jakos. Zaś na was, panie starosto, już czas! — Takie było nasze inauguracyjne posiedzenie rady portu! Nazajutrz spróbowaliśmy zacząć pierwszą robotę. Przez pełnych dziesięć dni chodziliśmy tylko koło jednego z kilkudziesięciu zatopionych rybackich kutrów. Wydostaliśmy go na brzeg już po siedmiu dniach. Lecz potem dodatkowo zabrał nam jeszcze trzy dni, kiedy po pierwszym wydobyciu łotr nocą umyślnie zepchnął go nam z powrotem w wodę.

„Psuli nam robotę różni. Różne jednostki. Niekiedy był to Niemiec, oficer czy esesman z rozbitych formacji Hitlera, ukrywający się w miasteczku. A niekiedy — Polak, szakał, szabrownik. Zdarzało się, jawny otwarty obwieś, niebezpieczny w spotkaniu, z łomem w garści czy rewolwerem, żeby bronić swego go nam z powrotem w wodę.

„W dwa tygodnie po naszym przybyciu zginął nasz druh i nasz towarzysz nieomal od pierwszej godziny, Hans Gloeckner. Niemiec tutejszy, nie stary jeszcze człowiek, zniszczony jedynie dziesięcioma latami obozów. W tym dniu w którym został zabity, przypadła na niego kolej dostarczyć wody. Braliśmy ją z pomp na dworcu, jedynych, które w mieście funkcjonowały. Mieliśmy beczkę, konia ze wsi za Olikaną, gdzie stał radziecki garnizon. Dzień przed Gloecknerem przywiozł spokojnie wodę Sasin, dwa dni przed tym — Smółdziński. Jeszcześmy nie wyszli z kapitanatu, gdzieśmy razem mieszkali, kiedyśmy usłyszeli tuż, tuż strzały. A kapitanat wówczas to było odludzie. Sasin od razu chwycił karabin, któryś z nas drugi, wybiegliśmy. Gloeckner leżał we krwi. Miał brzuch rozwalony i w głowę też był ranny. Na drzwiach z rozbitego domu zanieśliśmy go pod dach kapitanatu. Ja obok jadących prowadziłem konia ciągnącego beczkę. A Gloeckner, mając przechyloną głowę w moją stronę, coś od czasu do czasu bełkotał. Aleśmy się z nim śpieszyli i dopiero przed domem usłyszałem o co pytał: — Nicht durch geschiesst? — O beczkę mu szło, czy nie przestrelona. Patrzył w nią i patrzył, ale już sam nic dowiedzieć nie mógł.

„Pochowaliśmy go zaraz za kapitanatem. W parku, u stóp Zamkowego Wzgórza. Leży tam. Uczciwy Niemiec zabity za to, że wyciągnął ku nam pomocną rękę, ku nam, których jego mordercy bali się ruszyć. Leży tam obok grobów Mikołaja Owczarenki i Siergieja Macejsa, dwu marynarzy białomorskich, którzy zginęli przy odminowywaniu Olikany na kilka dni przed naszym przybyciem.

Dalszy ciąg nastąpi



TANIO i ŁADNIE

NAPRAWA ODZIEŻY

CEROWANIE pończoch, męzowskich skarpetek, łatanie, wszelkie reperacje, zabierają dużo czasu kościele pracującej, który mogłaby przeznaczyć na czytanie książek, prasy, na pracę społeczną, „wyprawę” do kina lub teatru.

Ale nie martwmy się. Spółdzielnia usługowa „Pożyteczna” powiększa sieć swoich punktów i już niedługo obejmie swoim zasięgiem nie tylko Warszawę ale i całą Polskę. W tej chwili „Pożyteczna” posiada już 13 punktów usługowych.

Ale zanim nadejdzie czas, że z każdą latą i cerą będziemy szły do spółdzielni „Pożytecznej” — tak jak dziś idziemy z każdym spuszczonej oczkiem, przejrzymy naszą „rodzinną” garderobę, a także i bieliznę, i zabierzmy się „raz dwa” do roboty. Zaczniemy od łatania.

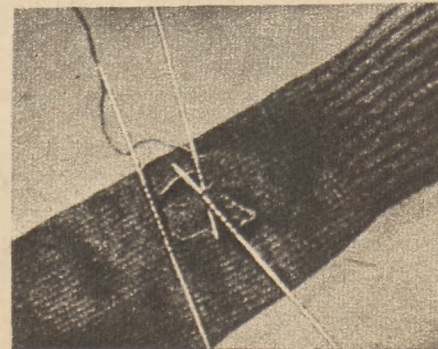
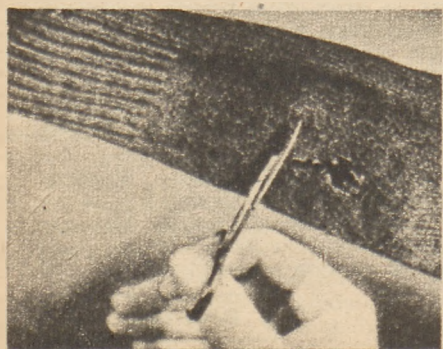
Łata, dobrze zrobiona, ma też swoje tajemnice. Należy bardzo uważać, aby wstawić ją w tym kierunku, w którym jest szyta łatanina; jeśli ukosem, to i łata powinna być cięta i wstawiona na ukos; jeśli prosto, to nie można łaty wstawić ukosem. Jeśli na tkaninie jest jakikolwiek wzór, to łatę trzeba tak wstawić, by go nie popsuć. Największą bowiem zaletą dobrej łaty jest to, że jest niewidoczna. Wszystkie nasze wysiłki, a więc wszywanie, podszywanie, obrobienie itd. idą w tym kierunku. Dobieramy jak najbardziej odpowiednie nici, jak najdrobniejszy, niewidoczny ścieg, dokładnie rozprasowujemy.

Prześcieradła z wytartym lub dziurawym środkiem przycinamy na pół, odcinamy nieużyteczne kawałki materiału i zeszywamy zewnętrznymi, nieosłabionymi brzegami.

Wdzięcznym materiałem do reperacji są wszelkie wyroby trykotowe, np. skarpety, swetry (specjalnie na łokciach) rękawiczki itp. Po prostu wycina się podarte miejsce, nabiera oczka na druty — patrz ilustracja — i dorabia na nowo wyciętą dziurę. Jeśli użyjemy identycznej wełny, czy bawełny, łata będzie zupełnie niewidoczna.

Niektóre cery — szczególnie na pięcie, kilkakrotnie się przecierają. Aby tego uniknąć, należy cerować nie tak, jak idą nitki w skarpecie, ale odwrotnie, pod kątem ostrym. Stylonów nie ceruje się — dziury należy zszywać na okrętkę. Wszelkie inne cery, np. na ubraniu, bieliznie itp. robi się równoległe z nitkami tkaniny. Jeśli cera ma być „artystyczna” wyciąga się nitki z niewidocznych miejsc i nimi się ceruje. Przy tym jeśli tkanina jest np. w „jodełkę” to i cera winna być w „jodełkę”. To wcale nie jest trudne. Trzeba tylko raz spróbować!

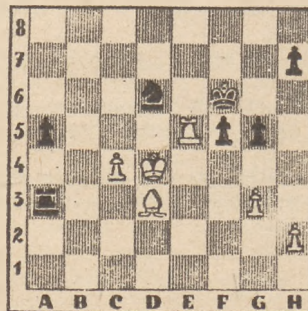
A spróbować warto — gdyż wielu rzeczom zniszczonym, przetartym, dziurawym... można po wypraniu, połataniu, pocerowaniu i odprasowaniu, przedłużyć żywot dwukrotnie. Często również długo dadzą się nosić po odświeżeniu, jak przed zniszczeniem, o czym każda dobra gospodyni wie z własnego doświadczenia. **AGATA**



SZACHY

PARTIA NR. 10

Poniżej podajemy dokończenie partii Smysłow-Keres, granej w III rundzie tegorocznych mistrzostw ZSRR. Na poniższym diagramie widzimy pozycję, w której arcymistrz Smysłow, grający białymi, zapisał 41 posunięcie. Czarne mają pioną więcej, ale wobec znacznie lepszego położenia białych figur szanse na wygraną ma raczej Smysłow.



Smysłow zapisał 41. We5—d5, na co Kotow odpowiedział 41... Kf6—e6. Teraz białe mogły próbować 42. We5+ Kf6 43. We2, aby po następującym Wf2 dążyć do wygrania piona f5. Smysłow obrał jednak jeszcze silniejszy plan

42. g3—g4! f5:g4 43. Wd5:g5 Wa3—a2 44. Wg5—e5+ Ke8—d7 45. We5—h5 Wa2—d2 46. c4—c5.

Mozna też było grać 46. Kc3 i dopiero po odejściu czarnej wieży 47. c5. W tym przypadku biały goniec nie byłby związany.

46. ... Sd6—b5+ 47. Kd4—c4 Sb5—a3+ 48. Kc4—c3 Wd2—d1 49. Gd3—e2 Wd1—b1 50. Ge2:g4+ Kd7—c8 51. Gg4—f3+ Kc6—b5 52. c5—c6+ Kb5—b6 53. Wh5:h7.

Teraz z kolei białe uzyskały przewagę piona.

53. ... Sa3—b5+ 54. Kc3—c2 Wb1—b4 55. Wh7—b7+.

Silniej wyglądało 55. Kd3 z następującym awansowaniem piona h.

55. ... Kc5.

Po 55. ... Ka5 wygrywało 56. Ga2.

56. c6—c7 Sb5—d6 57. c7—c8H Sd6:c8 58. Wb7—c7+ Kc5—b6 59. Wc7—c6+.

Po 59. W:c8 czarne osiągały remis, grając Wh4.

59. ... Kb6—b7 60. h2—h4 Kb7—b8 61. h4—h5 Wb4—f4 62. Gf3—e2 Sc8—e7 63. Wc6—a6 Kb8—c7 64. Wa6:a5 Se7—c6 65. Wa6—a8 Sc6—d4+ 66. Kc2—d3 Sd4:e2 67. Kd3:e2 Wf4—h4.

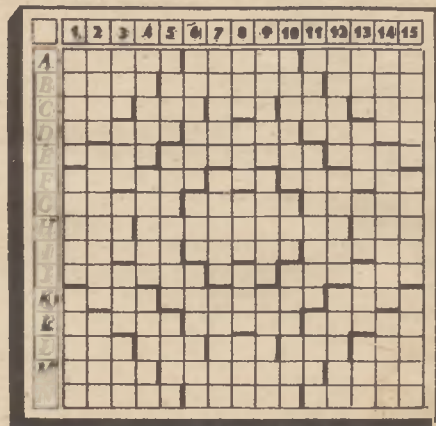
W tej pozycji arcymistrzowie zgodzili się na remis.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA

Poziomo: A1) Radzieckie uzdrowisko nad morzem Czarnym w pobliżu Noworossyjska A6) Rzeczka, strumyk A11) Wzruszenie, podniecenie B1) Urzędowe poświadczenie na paszporcie zagranicznym B5) Środek lokomocji B12) Rzeka w Azji wsch. C1) Gatunek wierzby C4) Parów, wawóz C7) Okres czasu, epoka C10) Bieg, obrót sprawy C13) Domki pszczoł D1) Szeroka grzęda na polu ornym D6) Roślina kwitnąca tylko raz w czasie swego istnienia D11) Płytki zalew czarnomorski u ujścia rzeki E1) Imię męskie (zdrobniale) E5) Rzeka w Syberii, płynąca między Chatangą i Olenkiem E12) Pouczenie, wskazówki F1) U starożytnych Rzymian: opiekunka drzew owocowych i krzewów ogrodniczych F7) Ptak śpiewający F10) Imię męskie G1) Ssak afrykański podobny do żyrafy G6) Zespół taneczny G11) Scena cyrkowa H1) Przysłówek miejsca H4) Zdrobniale — imię żeńskie H7) Część elektrolitu rozpadającego się pod wpływem prądu elektrycznego H10) Litera grecka H13) Wdzięk, przynęta I1) Barwne pasy na czapkach wojskowych I6) Mieszkaniec autonomicznej Republiki Radzieckiej, której stolicą jest Kazań I11) Muza pieśni miłosnej J1) Łączka wśród lasu J7) Wykonawca wyroku śmierci J10) Miłośnik, zwolennik K1) Mieszkaniec Azji pld.-zach. K5) Miasto na Sycylii K12) Jedna z planet L1) Mieszkanie, pomieszczenie L6) Imię żeńskie L11) Sztuczna droga wodna L1) Zdrobniale imię żeńskie Ł4) Port w Syrii nad Morzem Śródziemnym Ł7) Utwór poetycki Ł10) Rzeka w Egipcie Ł13) Najwyższa góra na Krecie M1) Inaczej „boleści” M5) Wóz pogrzebowy M12) Uczeń, wychowanek N1) Imię żeńskie N6) Rodzaj niekrytej werandy N11) Określenie, oznaczenie wartości.

Pionowo: 1A) Zawiadomienie, przypomnienie 1F) Część trylogii H. Sienkiewicza 1K) Dowód w procesie karnym 2A) Pole uprawne, łąn 2E) Mieszkanie domu 2L) Język bydłowy 3A) Imię cyganki z „Chaty za wsią” 3D) Termin tenisowy 3G) „Kocham” po łacinie 3J) Masa do pieczętowania przesyłek pocztowych 3L) Spójnik



4A) „Porcja żywnościowa” w języku rosyjskim 4F) Podpora, silny fundament 4K) Zbiornik wody 5A) Tytuł staropolski 5E) Ważny produkt wyjściowy przy produkcji barwników 5L) Otwór, wyłom 6A) Rzeka w Ameryce pld. 6G) Inaczej „bicz” 6J) Góra w pobliżu styku granic ZSRR, Turcji i Iranu 7A) Litera grecka 7F) Łódź sportowa 7K) Rynek, na którym odbywały się zgromadzenia ludowe w starożytnej Grecji 8A) Droga kolei żelaznej 8D) Miasto portowe w Finlandii 8G) Unoszenie się w powietrzu 8J) Firma aparatów radiowych 8L) Podarunek, prezent 9A) Miasto nad Odrą między Wrocławiem i Brzegiem (nazwa używana do niedawna) 9F) Najwyższa władza w wyższej uczelni 9K) Trawa po raz drugi rosnąca na skoszonej łące 10A) Rodzaj zasłony 10G) Rodzaj smoły 10J) Owoc południowy 11A) Wyspa koralowa 11E) Kłątwa, wyklęcie 11L) Miejsce rozrywkowe 12A) Asceta indyjski 12F) Jaskrawie ubarwiona papuga amerykańska 12K) Mały chłopiec 13A) Strus australijski 13D) Termin szachowy 13G) Imię żeńskie 13J) Ruch taneczny, płaś 13L) Pytajnik 14A) Bryła geometryczna 14E) Inaczej „dawca” (z łaciny) 14L) Port w Arabii 15A) Utwór J. Kochanowskiego 15F) „Praca” po łacinie 15K) Inaczej „rozgłos”.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru, pod adresem redakcji. Za dobre rozwiązania przyznanych zostanie 10 nagród książkowych.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 16

TAJEMNICZY PROGRAM: Radiofonizacja to walka o postęp. (Należało odczytać litery poszczególnych zdań, wskazane przez cyfry oznaczające godzinę i minuty audycji).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 16 nagrody książkowe otrzymują:

1) J. Bartosiewicz — Warszawa, ul. Nowolipki 21 m. 99. 2) Janusz Ewerli — Warszawa 26, ul. Wawerska 17 m. 14. 3) Zbigniew Fleszar — Legnica, ul. Dzierżyńskiego 3. 4) Jerzy Freudenheim — Bochnia, ul. Orac-

ka 6, 5) Adam Jarsębiński — Toruń, ul. św. Józefa 42, 6) Mieczysław Kleczkowski — Wołomin, pl. 3 Maja 3 m. 3, 7) Czesław Kłodziejski — Wrocław 10, ul. Mewia 44 m. 1, 8) Marian Kotowski — Opatów, ul. Mickiewicza 4, 9) Franciszek Łukasiewicz — Pabianice, ul. Warszawska 121, 10) Zofia Mięsek — Milanówek, ul. Kościuski 33 m. 45.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

NIEMCY MUSZĄ ŻYĆ W PRZYJAŹNI Z WSZYSTKIMI NARODAMI

Dokończenie ze str. 10

Nie milczeć, to jednak nie znaczy tylko protestować przeciw remilitaryzacji Niemiec i deklarować swój antyhitlerowski patriotyzm. Nie milczeć, to znaczy głosić słowem i czynem konsekwentnie wszystko to, co zwycięsko przeciwstawia się obozowi wojny.

A to znaczy wzmacniać międzynarodową solidarność ludów walczących o pokój przez pogłębianie w sobie i wśród swego otoczenia zrozumienia siły internacjonalizmu, zrozumienia czym dla nas Polaków jest pomocna braterska przyjaźń Związku Radzieckiego, czym dla nas Polaków jest wyciągnięta szczerze przyjazna dłoń robotników niemieckich, czym dla nas jest przyjaźń tych wszystkich ludów, których najlepszych synów gościliśmy na warszawskim Kongresie Pokoju. Kto nie pojmuje siły internacjonalizmu, którą dała naszemu narodowi nasza klasa robotnicza, ten jest słabym przeciwnikiem obozu atlantydw.

Głosić słowem i czynem konsekwentnie wszystko to, co zwycięsko przeciwstawia się obozowi wojny, to znaczy dalej umacniać i przyspieszać budowanie socjalizmu w naszym kraju, w miastach i wsiach, w fabrykach i w spółdzielniach produkcyjnych, w warsztatach i w biurach, a przede wszystkim w sercach i umysłach; kto nie pojmuje siły socjalizmu, którą daje naszemu (przez stulecia w biedzie i słabości dreptającemu) narodowi nasza klasa robotnicza, ten jest słabym przeciwnikiem polakożerców znad Renu, Tamizy i Potomaku.

Plany imperialistów, związane z remilitaryzacją Niemiec zachodnich godzą w sam byt Polski, w samo istnienie narodu polskiego.

Sprawa niemiecka staje się dla każdego Polaka probierzem jego uczciwości w myśleniu i w pracy, probierzem rzetelnego patriotyzmu.

III.

Polityka Polski Ludowej w stosunku do Niemiec jest najlepszym sprawdzianem słuszności internacjonalistycznej idei socjalizmu.

„Rozwój stosunków między NRD a Polską — mówił 12 listopada 1951 r. w Paryżu delegat Polski, Stefan Wierbłowski na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ — jest doskonałym przykładem, jak, pod warunkiem dopuszczenia do władzy demokratycznych elementów w całych Niemczech, mogłyby się ukształtować stosunki ze wszystkimi ich sąsiadami w interesie pokoju i bezpieczeństwa Europy”.

Stosunki, które łączą NRD z Polską Ludową, a lud niemiecki z ludem polskim, pokazują całemu światu, jak przyjaźń między ludami staje się fundamentem pokoju.

Toteż walcząc o pokój umacnianiem idei internacjonalizmu w naszym narodzie i budowaniem socjalizmu w naszym kraju, z uporem będziemy dążyć do zjednoczenia Niemiec przez naród niemiecki, widząc w ludzie niemieckim najistotniejszą gwarancję tego, że całe Niemcy będą pokojowe, że całe Niemcy żyć będą w przyjaźni z wszystkimi narodami.

EDMUND OSMANCZYK

KRÓLESTWO DZIECI

CENTRALNY Dom Dziecka w Warszawie rozbrzmiewa gwarem głosów dzieci i dorosłych. Na wszystkich piętrach olbrzymiego gmachu tłumy ludzi. Dziennie przewijają się około 12 tysięcy osób.

Punkt Opieki nad Matką i Dzieckiem ułatwia matkom zakupy. Dzieci starsze pozostawione w przytulnym kąciku bawią się zabawkami. Niemowlęta leżą w białych łóżeczkach, a ich wózki stoją w pomysłowo urządzonej przechowalni. W nowooteartym Domu Dziecka każde piętrowe ma swe przeznaczenie. Parter jest „królestwem” zabawek. W potrzebną odzież i obuwie dla dzieci do lat 14 możemy zaopatrzyć się na pozostałych piętrach. Ale nie tylko odzież możemy kupić w Centralnym Domu Dziecka. Bogato zaopatrzone są również działy gospodarstwa domowego i mebelków dziecięcych.

Prawdziwym rajem dla młodzieży starszej i młodych sportowców jest trzecie piętro. Na pewno często odwiedzać je będą harcerze i amatorzy gimnastyki, którzy zaopatrywać się tu będą w sprzęt sportowy i obozowy.

Już niedługo oddane będą do użytku działy na IV piętrze. Znajdą się tu gabinety fizyczne, przyrodnicze, laboratoria chemiczne i inne pracownie naukowe. W styczniu nastąpi otwarcie salonu fryzjerskiego.

Po wyremontowaniu i urządzeniu całego gmachu, Centralny Dom Dziecka będzie w stanie zaspokoić całkowicie potrzeby naszych najmłodszych.



Wcale się nie boję tego misia! Ale dlaczego on jest taki mały? W ogrodzie zoologicznym widziałem większego — prawdziwego.



Co za luksusowa limuzyna. Na spacer pojedą tym wózkiem i moje lalki. A może i ja się zmieszczę.



Harcerski obóz w lesie? Nie, to tylko interesująca dekoracja stoiska sportowego w Centralnym Domu Dziecka w Warszawie.

Matki robią sprawunki, natomiast dzieci pozostawione pod troskliwą opieką bawią się zabawkami.



Fot. J. Kosidowski

Ja chcę balonik! Mama kupiła bez sprzeciwu. Patrzcie jak balonik szybko rośnie w oczach — coraz większy i piękniejszy.





WĘGIERSKIE „MAZOWSZE“

DO NAJPOPULARNIEJSZYCH ZESPOŁÓW ARTYSTYCZNYCH NA WĘGRZACH WALEŻY PAŃSTWOWY ZESPÓŁ LUDOWY, KTÓRY — PODOBNI, JAK U NAS „MAZOWSZE“ — ROZWIJA I POPULARYZUJE SZTUKĘ LUDOWĄ. NA ZDJĘCIU WIDZIMY CHÓR ŻEŃSKI TEGO ZESPOŁU.